

BIBLIOTECZKA ŚWIETLICOWA CRZZ

	złotych
1. Wyczerpane	
2. "	
3. "	
4. KONOPNICKA M. — Miłosierdzie gminy, udra-	
matyzował A. Nowaczyński, str. 56	100.—
5. PRUS B. — Nawrócony, udra-	
matyzował Wł. Smólski, wyd. II, str. 52	100.—
6. CZECHOW A. — Oświadczyły, przekł. M. Cza-	
nerle, wyd. II, str. 44	100.—
7. ZEROMSKI ST. Sulkowski, opr. T. Zerom-	
ski, str. 36	100.—
8. SIENKIEWICZ H. — Szkice węglem, udra-	
matyzował St. Srednicki, wyd. II, str. 44	100.—
9. PRIESTLEY J. B. — Pan inspektor przyszedł,	
skrót T. Zeromskiego, wyd. II, str. 72	150.—
10. ARAGON L. — Rewizja (Dobrzy sąsiedzi),	
udramatyzowała M. Czanerle, wyd. II, str. 32	100.—
11. SALACROU A. — Łajdacy (Noce gniewu), prze-	
kład T. Zeromskiego, str. 48	100.—
12. PRUS B. — Bywa i tak na świecie, udra-	
matyzowała M. Czanerle, str. 48	100.—
13. PRUS B. — Sukienka balowa, udra-	
matyzowała M. Czanerle, str. 44	100.—
14. LACHOWICZ A. — Gospodarz — to ja! Obra-	
zek sceniczny w 1 akcie, str. 48	100.—
15. ORZESZKOWA E. — Niziny, udra-	
matyzowała W. Bruner-Niczowa, str. 68	120.—
16. MAUPASSANT GUY DE — Matka Sauvage,	
udramatyzował Ł. Kobryński, str. 40	100.—
17. ZEROMSKI St. — O żołnierzu tulaczu, udra-	
matyzowała W. Bruner-Niczowa, str. 40	100.—
18. PRUS B. — Powracająca fala, na podstawie no-	
weli udra-	
matyzowała B. Hajdukowicz, str. 96	150.—
19. JEZ T. T. (MILKOWSKI) — Szandor Kowacz,	
udramatyzował M. Guranowski, str. 72	150.—
20. CZECHOW A. — Jubileusz, Kameleon, Końskie	
narwisko, str. 52	150.—
21. KOPALKO Z. — Intermedia plebejskie, dialogi	
komiczne, str. 124	150.—

»KSIAŻKA I WIEDZA«

Ar. As-a
7198

CENTRALNA RADA
ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH w POLSCE

Biblioteczka Świetlicowa. Nr 52

KOMUNA PARYSKA

MATERIAŁY HISTORYCZNO-LITERACKIE
NA WIECZORNICĘ

W opracowaniu

WANDY MARKOWSKIEJ



• KSIAŻKA i WIEDZA •

WARSZAWA 1950

„Książka i Wiedza“, Warszawa
Printed in Poland
Luty 1950 rok

*Klasycy marksizmu-leninizmu
o Komunie Paryskiej*

(WYJĄTKI Z DZIEŁ)

Tłoczono 25.000 + 500 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza“ w Warszawie
Objętość 8,5 ark. Papier druk. sat. kl. V 80 g. 61 x 86
Zam. nr 173. 4.II.50 r. — 25.II.50 r. B-1-94206

WOJNA DOMOWA WE FRANCJI *)

Z „Manifestu Rady Generalnej Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników w sprawie wojny domowej we Francji w 1871 r.“

...Rankiem 18 marca 1871 r. zbudził paryżan grzmiący okrzyk: „Niech żyje Komuna!“

Czymże jest Komuna, ten sfinks, który na tak ciężkie próby wystawia burżuazyjne mózgi?

„Proletariusze Paryża — mówił Komitet Centralny w swym manifestie z 18 marca — widząc klęski i zdrady klas panujących zrozumieli, że wybiła godzina, gdy muszą ratować położenie ujmując kierownictwo spraw publicznych w swe własne ręce... Zrozumieli oni, że mają najwyższy obowiązek i bezwzględne prawo stać się panami swych własnych losów i opanować władzę rządową“. — Lecz klasa robotnicza nie może po prostu objąć w posiadanie gotowej maszyny państwowej i puścić jej w ruch dla swych własnych celów.

...Paryż, ten punkt centralny i siedziba starej władzy, a jednocześnie społeczny ośrodek francuskiej klasy robotniczej, chwycił za broń przeciw usiłowaniom Thiersa i jego Izby obszarniczej przywrócenia i uwiecznienia starej władzy, odziedziczonej po cesarstwie. Paryż mógł stawić opór

*) Wyd. „Książki i Wiedzy“, W-wa 1949.

tylko dlatego, że wskutek oblężenia pozbył się armii, na której miejscu stanęła Gwardia Narodowa, złożona głównie z robotników. Ten fakt należało teraz przekształcić w stałą instytucję. Dlatego też pierwszy dekret Komuny głosił zniesienie stałego wojska i zastąpienie go uzbrojonym ludem.

Komuna utworzyła się z radnych miejskich, obranych w głosowaniu powszechnym w poszczególnych okręgach Paryża. Byli oni odpowiedzialni i mogli być odwołani w każdej chwili. Większość ich składała się naturalnie z robotników lub z uznanych przedstawicieli klasy robotniczej. Komuna nie miała być ciałem parlamentarnym, lecz pracującym, jednocześnie ustawodawczym i wykonawczym. Policja, która dotąd była narzędziem rządu państwowego, została natychmiast pozbawiona wszystkich swych cech politycznych i stała się odpowiedzialnym i w każdej chwili usuwalnym narzędziem Komuny. Podobnie urzędnicy wszystkich innych gałęzi administracji. Wszyscy urzędnicy, poczynając od członków Komuny, musieli teraz pełnić służbę publiczną za *placę roboczą*. Przywileje i pensje reprezentacyjne wielkich dostojników państwowych znikły wraz z tymi dostojnikami. Urzędy publiczne przestały być prywatną własnością kreatur rządu centralnego. Nie tylko zarząd miejski, lecz i cała inicjatywa, należąca dotąd do państwa, przeszła teraz w ręce Komuny.

Po zniesieniu armii stałej i policji, tych narzędzi władzy materialnej starego rządu, Komuna przystąpiła natychmiast do złamania „władzy klechów“, duchowego narzędzia ucisku; zadekretowała ona rozwiązanie i wywłaszczenie kościołów wszystkich wyznań, o ile były instytucjami posiadającymi majątek. Księża musieli powrócić

do skromnego życia prywatnego, aby na wzór swych pra-ojców apostołów żyć z jałmużny swych owieczek. We wszystkich zakładach naukowych nauka była prowadzona bezpłatnie, usunięto je spod wszelkiego wpływu państwa i kościoła. W ten sposób nie tylko dano wszystkim dostęp do wykształcenia szkolnego, lecz i uwolniono wiedzę od kajdanów, w które zakuły ją przesady klasowe i władza.

Urzędnicy sądowi stracili tę pozorną niezależność, która służyła tylko do maskowania ich zawisłości od wszystkich następujących po sobie rządów, z których każdemu po kolei składali przysięgę wierności, by potem ją łamać. Odtąd mieli być obieralni, odpowiedzialni i usuwalni, podobnie jak wszyscy inni urzędnicy publiczni.

Komuna Paryska miała oczywiście służyć za wzór wszystkim wielkim ośrodkom przemysłowym Francji. Gdyby ustrój komunalny został wprowadzony w Paryżu i drugorzędnych ośrodkach, z tą chwilą dawny, scentralizowany rząd musiałby i na prowincji ustąpić miejsca samorządowi wytwórców. Krótki szkic organizacji narodowej, którego Komuna nie zdążyła dalej opracować, orzeka wyraźnie, że Komuna ma stać się formą polityczną najmniejszej bodaj wioski i że armia stała w całym kraju ma być zastąpiona przez milicję ludową o nader krótkim okresie służby. Zgromadzenie posłów w głównym mieście okręgu miało zarządzać wspólnymi sprawami gmin wiejskich danego okręgu, a te zgromadzenia okręgowe miały z kolei wysyłać delegatów do przedstawicielstwa narodowego w Paryżu; posłowie mogli być w każdej chwili odwołani i byli związani wyraźnymi instrukcjami swych wyborców. Nieliczne, ale ważne funkcje, które pozostawały jeszcze rządowi centralnemu, nie miały być zniesione, jak twierdzili ludzie rozmyślnie fałszujący prawdę, lecz

miały być przekazane urzędnikom komunalnym, tj. ściśle odpowiedzialnym. Ustrój komunalny nie miał rozbić, lecz właśnie zorganizować jedność narodu; a ta jedność miała zostać urzeczywistniona przez zniweczenie tej władzy państwowej, która chce uchodzić za wcielenie owej jedności, ale jednocześnie chce być niezależna i górować nad narodem, na którego ciele jest tylko pasożytniczą naroślą. Szło więc o to, aby znieść czysto gniebicielskie organy starych rządów, ich uprawnione zaś funkcje odebrać tej władzy, która rości sobie prawo do górowania nad społeczeństwem i przekazać je odpowiedzialnym urzędnikom społeczeństwa. Zamiast raz na trzy lub sześć lat rozstrzygać, który z członków klasy panującej ma reprezentować i uciskać lud w parlamencie, powszechne prawo głosowania miało służyć ludowi, zorganizowanemu w komuny, w taki sam sposób, jak dzisiaj każdemu pracodawcy służy indywidualne prawo głosu przy wyborze do swego przedsiębiorstwa robotników, nadzorców i buchalterów. I wiemy dobrze, że społeczeństwa potrafią nie gorzej niż jednostki znajdować odpowiednich do danej pracy ludzi, a w razie, jeżeli się niekiedy mylą, potrafią szybko naprawić swój błąd.

...Różnorodność komentarzy, które wywołała Komuna i różnorodność interesów, jakie znalazły w niej swój wyraz, dowodzą, że Komuna była na wskroś elastyczną formą polityczną, gdy tymczasem wszystkie poprzednie formy rządu były z istoty swej ciemnizyńskie. Jej prawdziwa tajemnica polegała na tym, że była ona ze swej istoty *rządem klasy robotniczej*, rezultatem walki klasy wytwórców z klasą przywłaszczycieli — tą znalezioną wreszcie formą polityczną, w której mogło się dokonać wyzwolenie ekonomiczne pracy.

Bez tego ostatniego warunku ustrój komunalny był niemożliwy i złudny. Polityczne panowanie wytwórców nie może istnieć jednocześnie z ich wieczną niewolą społeczną. Komuna miała zatem służyć jako narzędzie do obalenia podstaw ekonomicznych, na których się opiera istnienie klas, a więc i panowanie klasowe. Z chwilą wyzwolenia pracy każdy człowiek stanie się robotnikiem i praca produkcyjna przestanie być właściwością klasową.

...Gdy Komuna Paryska ujęła wodze rewolucji w swe własne dłonie; gdy prości robotnicy ośmielili się po raz pierwszy pogwałcić przywileje rządowe swych „naturalnych zwierzchników“ — klas posiadających — i pełnili swą pracę skromnie, sumiennie i z powodzeniem w niesłychanie trudnych okolicznościach — najwyższe wynagrodzenie dorównywało zaledwie piątej części najmniejszej pensji, pobieranej przez sekretarza londyńskiej rady szkolnej, jak nas zapewnia wielka powaga naukowa (profesor Huxley) — wówczas cały stary świat zaczął się wściekać na widok czerwonego sztandaru, który powiewał nad ratuszem jako godło republiki pracy.

A jednak była to pierwsza rewolucja, w której klasę robotniczą otwarcie uznano za jedyną klasę zdolną jeszcze do inicjatywy społecznej; uznał ją nawet ogół paryskiej klasy średniej — kramarzy, rzemieślników, kupców — z wyjątkiem jedynie wielkich kapitalistów. Przez rozumne usunięcie wiecznej przyczyny walk w łonie samej klasy średniej — a mianowicie zatargu pomiędzy dłużnikami a wierzycielami — Komuna ocaliła tę klasę *).

*) 18 kwietnia 1871 r. Komuna ogłosiła dekret o przedłużeniu terminu spłaty długów o trzy lata.

Ta sama część klasy średniej w roku 1848 brała udział w stłumieniu czerwcowego powstania robotników; natychmiast zaś potem Zgromadzenie Konstytucyjne bez ceremonii złożyło ją w ofierze wierzycielom. Ale nie ta jedna przyczyna nakazała jej przyłączyć się teraz do robotników. Czuła ona, że ma do wyboru jedno z dwojga — albo Komunę, albo cesarstwo pod jakąkolwiek nazwą. Cesarstwo zrujnowało ekonomicznie tę klasę średnią marnotrawieniem bogactwa narodowego, protekcją okazywaną szalbierstwom finansowym, sztucznym przyspieszaniem koncentracji kapitałów i powodowanego przez nią wywłaszczenia znacznej części klasy średniej. Cesarstwo uciskało tę klasę politycznie, oburzało ją moralnie swymi orgiami, urażało jej wolterianizm oddając wychowanie jej dzieci w ręce „nieokrzesanych braciszków“, zraniło jej poczucie narodowe wtrącając kraj w wojnę, która wzamian za spowodowaną przez się ruinę dała tylko jedno — zniweczenie cesarstwa. W istocie po wyniesieniu się z Paryża świetnej bandy bonaparty-stowskiej i kapitalistycznej prawdziwa „Partia Porządku“ klas średnich wystąpiła jako „Union Républicaine“, stanęła pod sztandarem Komuny i broniła jej przed świadomymi oszczerstwami Thiersa. Pozostaje tylko przekonać się, czy wdzięczność klasy średniej, jej licznych rzesz, wytrzyma obecne ciężkie próby.

Komuna miała zupełną słuszość, gdy w swej odezwie mówiła chłopom: „W naszym zwycięstwie wasza nadzieja“. Ze wszystkich kłamstw, zrodzonych w Wersalu i rozgłaszanych przez sławetnych bandytów prasy europejskiej, jednym z najbezczelniejszych było twierdzenie, że obszarnicy Zgromadzenia Narodowego są obrońcami chłopów francuskich. Można sobie wyobrazić, jak fran-

cuski chłop kochał ludzi, którym po roku 1815 musiał zapłacić miliard odszkodowania. Przecież w oczach francuskiego chłopaka samo istnienie wielkiego właściciela ziemskiego jest zamachem na jego zdobycze z 1789 r. Bourgeois w r. 1848 obciążył parcele chłopskie dodatkowym podatkiem 45 centymów od każdego franka, lecz uczynił to w imieniu rewolucji. Teraz zaś bourgeois rozniecił wojnę domową przeciw rewolucji, aby zwalić na chłopów główny ciężar 5 miliardów odszkodowania wojennego, przeznaczonego Prusom. Natomiast Komuna zaraz w jednej z pierwszych swych odezw oświadczyła, że właściwi sprawcy wojny powinni też ponosić jej koszty. Komuna uwolniłaby chłopów od podatku krwi, dałaby mu tani rząd, a wszystkie pijawki, które ssaly jego krew — notariusza, adwokata, egzekutora sądowego i innych wampirów sprawiedliwości — zamieniłaby na płatnych urzędników komunalnych, obieranych przez chłopów i przed nim odpowiedzialnych. Komuna uwolniłaby go od samowoli nadzorcy, żandarma i prefekta; dałaby mu zamiast ogłupiających go klechów — nauczycieli, którzy by go oświecali. A chłop francuski jest przede wszystkim człowiekiem wyrachowanym. Chłop ten uznałby za zupełnie słuszne, aby pensji wypłacanych klechom nie ściągano przez egzekutora podatkowego, lecz wypłacano je z dobrowolnych ofiar składanych przez pobożnych danej parafii. Oto były wielkie bezpośrednie dobrodziejstwa, które panowanie Komuny — i tylko Komuny — obiecywało chłopom francuskim. Dlatego zbyteczne tu wdawać się bliżej w bardziej zawile, rzeczywiste życiowe problemy, które tylko Komuna mogła, a jednocześnie musiała rozstrzygnąć na korzyść chłopów — długi hipoteczne, które jak zmora ciążyły na

chłopskiej parceli, kwestię proletariatu wiejskiego, który z dnia na dzień wzrastał liczebnie oraz sprawę wywłaszczenia chłopów z ich parcel, które się dokonywało coraz szybciej pod wpływem rozwoju nowoczesnej gospodarki rolnej i konkurencji rolnictwa kapitalistycznego.

... Ale jeżeli Komuna była, jak widzimy, prawdziwą przedstawicielką wszystkich zdrowych żywiołów społeczeństwa francuskiego, a więc prawdziwym rządem narodowym, to zarazem jako rząd robotniczy, jako śmiała pionierka wyzwolenia pracy, była w całym znaczeniu tego wyrazu międzynarodowa. Pod okiem armii pruskiej, która przyłączyła do Niemiec dwie francuskie prowincje, Komuna przyłączyła robotników całego świata do Francji.

...Komuna dopuściła wszystkich cudzoziemców do zaszczytu walki i śmierci za nieśmiertelną sprawę.

...Komuna mianowała robotnika niemieckiego swym ministrem pracy. Thiers, burżuazja, Drugie Cesarstwo ciągle tumanili Polaków głośnymi deklaracjami swej sympatii, a tymczasem zaprzędali ich Rosji i sami dokonywali jej brudnego dzieła. Komuna uczyła bohater-
skich synów Polski stawiając ich na czele obrony Paryża. Wreszcie, aby wyraźnie zaznaczyć nową epokę historyczną, którą świadomie rozpoczynała, Komuna w oczach zwycięskich Prusaków z jednej strony, a bonapartystowskiej armii, dowodzonej przez bonapartystowskich generałów, z drugiej — zburzyła potężny symbol sławy wojennej, kolumnę Vendôme.

Wielkim czynem społecznym Komuny było samo jej istnienie, jej praca. Poszczególne zarządzenia Komuny mogły wytknąć tylko kierunek, w jakim rozwijają się rządy ludu, sprawowane przez sam lud. Do takich zarządzeń należy zniesienie pracy nocnej czeladników pie-

carskich; surowy zakaz rozpowszechnionego wśród pracodawców zwyczaju obniżania płacy za pomocą kar pieniężnych, nakładanych pod wszelkimi możliwymi pretekstami, co było zwykłą metodą przedsiębiorców, którzy łącząc w swej osobie funkcje ustawodawcy, sędziego i egzekutora kładli pieniądze do własnej kieszeni. Innym zarządzeniem tego rodzaju było oddanie stowarzyszeniom robotniczym wszystkich zamkniętych warsztatów i fabryk pod warunkiem wypłacenia odszkodowania odnośnemu kapitaliście bez względu na to czy uciekł, czy też tylko wstrzymał pracę.

... Cudowne zaiste były zmiany zaprowadzone w Paryżu przez Komunę. Z rozwiązłego Paryża Drugiego Cesarstwa nie zostało ani śladu. Paryż przestał już być punktem zbornym brytyjskich obszarników, irlandzkich absentystów*), amerykańskich eks-właścicieli niewolników i dorobkiewiczów, rosyjskich eks-właścicieli chłopów pańszczyźnianych i włoskich bojarów. W kostnicy ani jednego trupa, żadnych nocnych włamań i prawie żadnych kradzieży; po raz pierwszy od dni lutowych 1848 r. ulice Paryża były znowu rzeczywiście bezpieczne i to bez żadnej policji. „Nie słyszymy już nic — mówił jeden z członków Komuny — o jakichkolwiek zabójstwach, grabieżach, napadach; można by pomyśleć, jakoby policja zabrała ze sobą do Wersalu wszystkich swych konserwatywnych przyjaciół“. Kokoty poszły śladem swych opiekunów — zbiegłych obrońców religii, a przede wszystkim własności. Pod ich nie-

*) Irlandzcy absentyści — wielcy posiadacze ziemscy, którzy trwonili swe „dochody“ za granicą i byli przeważnie nieobecni („absent“ znaczy „nieobecny“) w swych dobrach. — Red.

obecność zjawily się znowu na widowni prawdziwe kobiety paryskie — bohaterskie, wielkoduszne i ofiarne jak kobiety starożytności. Paryż pracujący, myślący, walczący, broczący krwią, pochłonięty organizowaniem nowego społeczeństwa niemal zapominał o ludożercach stojących pod jego murami, promieniejąc entuzjazmem swej historycznej inicjatywy.

...Paryż robotniczy wraz ze swą Komuną będzie wiecz- nie czczony jako sławą okryty zwiastun nowego społeczeń- stwa. Jego męczennicy zapisali się na wieki w wielkim sercu klasy robotniczej. Jego katów już dziś historia postawiła pod pręgierz, od którego nie uwolnią ich żadne modlitwy ich klechów.

Z LISTU MARKSA DO KUGELMANA *)

Londyn, 12 kwietnia 1871 r.

Jeżeli zajrzysz do ostatniego rozdziału mego „Osiem- nastego brumaire’a“, to przekonasz się, że za następną próbę rewolucji francuskiej uważam nie, jak dotychczas, przekazanie biurokratyczno-militarnej maszyny z jed- nych rąk w drugie, lecz jej zdruzgotanie i to jest warun- kiem przedwstępnym każdej prawdziwej ludowej rewo- lucji na kontynencie.

Na tym właśnie polega próba naszych bohaterskich towarzyszy paryskich. Jakaż to elastyczność, ileż hi- storycznej inicjatywy, ileż zdolności do poświęceń u tych paryżan! Po sześciomiesięcznym wygłodzeniu i wynisz- czeniu, nie tyle przez wroga zewnętrznego ile raczej skut- kiem zdrady wewnętrznej, zrywają się do powstania w obliczu bagnatów pruskich, jak gdyby nie było wcale wojny między Francją a Niemcami, jak gdyby wróg nie stał jeszcze u wrót Paryża! Historia nie zna podobnego przykładu bohaterstwa! Jeśli ulegną, to należy to przy- pisać jedynie ich „dobroduszności“. Należało natych- miast ruszyć na Wersal, skoro naprzód Vinoy, a następ- nie reakcyjna część paryskiej Gwardii Narodowej sama

*) Z tomu: Karol Marks i Fryderyk Engels — Dzieła Wybrane, t. II., wyd. „Książki i Wiedzy“, W-wa 1949.

porzuciła pole walki. Ze względu na skrupuły sumienia pominięto właściwy moment. Nie chciano wszcząć wojny domowej, jak gdyby mischie-vous avorton (złośliwy potwór) Thiers nie wszczął już przedtem wojny domowej swą próbą rozbrojenia Paryża! Drugi błąd: Komitet Centralny złożył swą władzę za wcześnie, ustępując miejsca Komunie. Znowu z powodu zbyt „sumiennej” skrupulatności! Bez względu na wszystko obecne powstanie paryskie — choćby uległo ono wilkom, świniom i podłym psom starego społeczeństwa — jest najwspanialszym czynem naszej partii od czasu powstania czerwcowego. Porównajcie z paryżanami szturmującymi niebo owych służalców bożych niemiecko-pruskiego świętego cesarstwa rzymskiego z jego pogrzebowymi maskaradami, które cuchną koszarami, kościołem, junkierstwem, a nade wszystko filisterstwem.

ZE WSTĘPU „DO WOJNY DOMOWEJ
WE FRANCJI“ — KAROLA MARKSA

...Komuna musiała natychmiast z góry uznać, że klasa robotnicza z chwilą dojścia do władzy nie może dalej gospodarować za pomocą starej maszyny państwowej, że ta klasa robotnicza, o ile nie chce stracić ponownie swej własnej, dopiero co zdobytej władzy, musi, z jednej strony, usunąć cały stary aparat ucisku, dotąd używany przeciw niej samej, z drugiej zaś strony, musi się zabezpieczyć przed swymi własnymi posłami i urzędnikami proklamując ich usuwalność w każdej chwili, bez żadnego wyjątku. Na czym polegała charakterystyczna cecha dotychczasowego państwa? Społeczeństwo wytworzyło sobie własne organy celem ochrony swych wspólnych interesów, początkowo w drodze prostego podziału pracy. Ale te organy i główny pośród nich — władza państwowa — przeistoczyły się z czasem — służąc swym własnym, odrębnym interesom — ze służ społeczeństwa w jego panów. Daje się to zauważyć nie tylko w dziedzicznej monarchii, lecz również i w demokratycznej republice. Nigdzie „politycy” nie stanowią bardziej wyodrębnionej i wpływowej części narodu niż właśnie w Ameryce Północnej. Tu każda z obu wielkich partii, które na przemian stoją u steru władzy, sama jest z kolei rządzona przez ludzi, którzy z polityki robią interes,

którzy spekulują mandatami do ciał ustawodawczych Związku i poszczególnych stanów lub którzy żyją z agitacji na rzecz swej partii i po jej zwycięstwie otrzymują w nagrodę posady. Wiadomo, że Amerykanie już od 30 lat starają się zrzucić to jarzmo, które stało się wprost nie do zniesienia, i że mimo to grzęzną coraz głębiej w tym bagnie korupcji. Właśnie w Ameryce staje się najlepiej widoczne, w jaki sposób odbywa się owo usamodzielnienie władzy państwowej w stosunku do społeczeństwa, któremu pierwotnie miała służyć tylko jako narzędzie. Tu nie ma dynastii, nie ma szlachty, nie ma stałego wojska oprócz garstki żołnierzy dozorujących Indian, nie ma biurokracji o stałych etatach i z prawem do emerytury. A jednak mamy tu dwie wielkie bandy spekulantów politycznych, które na przemian biorą w swe ręce władzę i wyzyskują ją do najbrudniejszych celów przy użyciu najbrudniejszych środków — a naród jest bezsilny wobec tych dwóch wielkich karteli polityków, którzy rzekomo służą mu, w rzeczywistości zaś panują nad nim i grabią go.

Przeciwko temu nieuniknionemu we wszystkich dotychczasowych państwach przeistoczeniu się państwa i jego organów ze służ społeczeństwa w jego panów Komuna zastosowała dwa niezawodne środki. Po pierwsze, wszelkie stanowiska w administracji, sądownictwie, szkolnictwie obsadziła w drodze wyborów opartych na powszechnym prawie wyborczym wszystkich zainteresowanych i to z tym zastrzeżeniem, że ci wyborcy mogą w każdej chwili odwołać osoby wybrane. Po drugie, Komuna ustanowiła za wszystkie funkcje, wyższe czy niższe, pensję równą płacy roboczej. Najwyższa w ogóle pensja wypłacana przez Komunę wynosiła 6.000 fran-

ków. Już to samo stawiało dostateczną zaporę karierowiczostwu i polowaniu na posady nawet bez — wprowadzonych jako środek dodatkowy — imperatywnych mandatów, jakie otrzymywali delegaci do ciał przedstawicielskich.

To rozsadzenie dotychczasowej władzy państwowej i zastąpienie jej przez nową, prawdziwie demokratyczną władzę szczegółowo przedstawione jest w trzecim rozdziale „Wojny domowej“. Uważałem jednak za niezbędne raz jeszcze zatrzymać się pokrótce nad poszczególnymi rysami tej przemiany, albowiem właśnie w Niemczech zabobonna wiara w państwo przeniknęła z filozofii do ogólnej świadomości burżuazji, a nawet wielu robotników. Według pojęć filozofów, państwo jest „ureczywistnieniem idei“, czyli przełożonym na język filozoficzny królestwem bożym na ziemi — jest terenem, na którym urzeczywistnia się lub powinna się urzeczywistniać wieczysta prawda i sprawiedliwość. Stąd zaś wypływa zabobonna cześć dla państwa i dla wszystkiego, co ma z nim związek, cześć, która tym łatwiej się zakorzenia, że każdy już od dzieciństwa zwykł sobie wyobrażać, iż ogólne sprawy i interesy wspólne całemu społeczeństwu nie mogą być załatwiane i zabezpieczane inaczej niż dotąd, to jest przez państwo i jego dobrze uposażonych urzędników. Niejeden wyobraża sobie, że robi już bardzo śmiały krok, jeżeli się wyzwala z wiary w dziedziczną monarchię i klnie się na demokratyczną republikę. W rzeczywistości jednak państwo nie jest niczym innym jak maszyną do dławienia jednej klasy przez drugą i to wcale nie mniej w demokratycznej republice niż w monarchii. W najlepszym razie państwo jest złem, które odziedziczy zwycięski — w walce o panowanie kla-

sowe — proletariat i którego najgorsze strony będzie musiał natychmiast, podobnie jak Komuna, możliwie radykalnie odciąć, aż pokolenie wyrosłe w nowych, wolnych stosunkach społecznych będzie mogło odrzucić precz wszystkie rupiecie państwowości.

W ostatnich czasach socjaldemokratyczny filister znowu wpada w zbawienną trwogę, gdy słyszy słowa: dyktatura proletariatu. Cóż, panowie, chcecie wiedzieć, jak wygląda ta dyktatura? Przyjrzyjcie się Komunie Paryskiej. Była to dyktatura proletariatu.

Londyn, w dwudziestą rocznicę
Komuny Paryskiej, 18 marca 1891 r.

Napisane przez F. Engelsa dla oddzielnego wydania „Wojny domowej we Francji“, opublikowanego w Berlinie w r. 1891.

W. I. LENIN

PAMIĘCI KOMUNY *)

Czterdzieści lat upłynęło od czasu proklamowania Komuny Paryskiej. Zgodnie z przyjętym zwyczajem proletariat francuski uczcił wiecami i demonstracjami pamięć działaczy rewolucji 18 marca 1871 roku; a z końcem maja złoży ponownie wieńce na mogiłach rozstrzelanych komunardów, ofiar strasznego „Tygodnia majowego“, i znów złoży na ich mogiłach przysięgę, że nie opuszczając rąk walczyć będzie aż do pełnego triumfu ich idei, do chwili gdy dzieło przekazane nam przez nich w testamencie zostanie całkowicie wykonane.

Dlaczego więc proletariat, nie tylko francuski, ale i światowy, czci w działaczach Komuny Paryskiej swoich poprzedników? Na czym polega dziedzictwo Komuny?

Komuna powstała żywiołowo, nikt jej świadomie ani planowo nie przygotowywał. Nieszczęśliwa wojna z Niemcami, cierpienia doznane w czasie oblężenia, bezrobocie wśród proletariatu i ruina drobnomieszczaństwa; oburzenie mas na klasy wyższe i władzę, która wykazała całkowitą nieudolność, burzliwy ferment w łonie klasy robotniczej, niezadowolonej ze swego losu i dążącej do innego ustroju społecznego; reakcyjny skład Zgroma-

*) Przedruk z ks. „W. I. Lenin — O Komunie Paryskiej“, wyd. „Książka i Wiedza“, W-wa 1949.

dzenia Narodowego, nasuwający obawy o losy republiki — to wszystko i wiele innych jeszcze rzeczy złożyło się na to, by pchnąć ludność Paryża do rewolucji 18 marca, która niespodzianie oddała władzę w ręce Gwardii Narodowej, w ręce klasy robotniczej i idącego za nią drobnomieszczaństwa.

Było to nie spotykane dotychczas w dziejach wydarzenie. Dotychczas władza spoczywała zwykle w rękach obszarników i kapitalistów, tj. osób cieszących się ich zaufaniem, które stanowiły tzw. rząd. Natomiast po rewolucji 18 marca, kiedy rząd p. Thiersa wraz ze swoim wojskiem, policją i urzędnikami uciekł z Paryża — lud pozostał panem sytuacji i władza przeszła do rąk proletariatu. Ale we współczesnym społeczeństwie proletariatu ujarzmiony ekonomicznie przez kapitał nie może panować politycznie, zanim nie rozbije swoich kajdan przykuwających go do kapitału. Oto dlaczego ruch wywołany przez Komunę musiał nieuchronnie uzyskać zabarwienie socjalistyczne, tj. musiał dążyć do obalenia panowania burżuazji, panowania kapitału, do zburzenia samych podstaw współczesnego ustroju społecznego.

Z początku ruch ten miał charakter w najwyższym stopniu różnorodny i nieokreślony. Przyłączyli się do niego również patrioci, którzy mieli nadzieję, że Komuna podejmie na nowo wojnę z Niemcami i doprowadzi ją do pomyślnego końca. Poparli ten ruch i drobni sklepikarze, którym groziła ruina, o ile nie nastąpiłoby odroczenie terminu płatności weksli i komornego (odroczenia tego nie chciał im dać rząd, ale dała za to Komuna). Wreszcie z początku sympatyzowali z nią częściowo także burżuazyjni republikanie obawiający się, że reakcyjne Zgromadzenie Narodowe („hreczkosiejce“, nieokrzesane

ni obszarnicy) przywróci monarchię. Ale główną rolę w tym ruchu grali oczywiście robotnicy (zwłaszcza rzemieślnicy paryscy), wśród których w ostatnich latach Drugiego Cesarstwa prowadzona była żywa propaganda socjalistyczna; wielu z nich należało nawet do Międzynarodówki.

Jedynie robotnicy byli do końca wierni Komunie. Burżuazyjni republikanie i drobnomieszczaństwo wkrótce pozostali w tyle; jednych przestraszył rewolucyjno-socjalistyczny, proletariacki charakter ruchu; drudzy odsunęli się, gdy ujrzeli, że jest on skazany na nieuniknioną klęskę. Jedynie proletariusze francuscy nieustraszenie i niezmordowanie popierali swój rząd; jedynie oni walczyli i umierali za niego, tj. za sprawę wyzwolenia klasy robotniczej, za lepszą przyszłość całego świata pracy.

Opuszczona przez wczorajszych sojuszników i nie wsparta przez nikogo musiała Komuna niechybnie ponieść porażkę. Cała burżuazja francuska, wszyscy obszarnicy, gieldziarze, fabrykanci, wszyscy wielcy i mali złodzieje, wszyscy wyzyskiwacze zjednoczyli się przeciw niej. Tej koalicji burżuazyjnej, popieranej przez Bismarcka (który zwolnił z niewoli niemieckiej 100.000 żołnierzy francuskich w celu ujarzmienia rewolucyjnego Paryża), udało się pchnąć ciemne chłopstwo i prowincjonalne drobne mieszczaństwo przeciwko proletariatowi paryskiemu i opasać żelaznym pierścieniem pół Paryża (druga połowa miasta oblężona była przez armię niemiecką). W niektórych dużych miastach Francji (Marsylii, Lyonie, Saint - Etienne, Dijon i in.) robotnicy również czynili próby zdobycia władzy, proklamowania Komuny i pośpieszenia z pomocą Paryżowi, ale próby te

szybko zakończyły się niepowodzeniem. I Paryż, który pierwszy rozwinął sztandar proletariackiego powstania, zdany był na swe własne siły i skazany na niewątpliwą zagładę.

Aby rewolucja socjalna mogła zwyciężyć, konieczne jest istnienie przynajmniej dwóch warunków: wysokiego rozwoju sił wytwórczych i przygotowania proletariatu. Lecz w r. 1871 brak było obu tych warunków. Kapitalizm francuski był jeszcze słabo rozwinięty, a Francja była wtedy przeważnie krajem drobnej burżuazji (rzemieślników, chłopów, sklepikarzy itp.). Z drugiej strony nie było jeszcze partii robotniczej, a klasa robotnicza nie posiadała odpowiedniego przygotowania ani większego wykształcenia, nie uprzytamniając sobie nawet w swej masie całkiem wyraźnie swych zadań i sposobu ich urzeczywistnienia. Nie było jeszcze ani poważnej politycznej organizacji proletariatu, ani szeroko rozbudowanych związków zawodowych i stowarzyszeń spółdzielczych...

Ale główną rzeczą, której brakowało Komunie, był to czas i swoboda, by rozejrzeć się i przystąpić do realizacji swego programu. Nie zdążyła ona nawet jeszcze wziąć się do pracy, gdy rząd, który usadowił się w Wersalu, popierany przez całą burżuazję rozpoczął działania wojenne przeciwko Paryżowi. Komuna musiała przede wszystkim myśleć o samoobronie. I aż do samego końca, który nastąpił 21 — 28 maja, nie miała ona czasu myśleć poważnie o czymkolwiek innym.

Zresztą, mimo tak niepomysłnych warunków, mimo krótkotrwałości swojego istnienia Komuna zdążyła przedsięwziąć kilka środków dostatecznie charakteryzujących

jej istotny sens i cele. Komuna na miejsce armii stałej, ślepego narzędzia w rękach klas panujących, wprowadziła powszechne uzbrojenie ludu; proklamowała rozdział kościoła od państwa, skasowała budżet wyznań religijnych (tj. uposażenie państwowe dla księży), nadała oświacie publicznej wybitnie świecki charakter zadając tym samym silny cios żandarmerii w sutannach. W dziedzinie czysto społecznej Komuna zdążyła zrobić tylko niewiele, ale i to ujawnia jednak dostatecznie jaskrawo jej charakter jako ludowego, robotniczego rządu: zakazano nocnej pracy w piekarniach; skasowano system kar będący zalegalizowanym ograbianiem robotników; wreszcie wydany został słynny dekret (rozporządzenie), mocą którego wszystkie fabryki, zakłady i warsztaty opuszczone lub unieruchomione przez swoich właścicieli przekazane zostały zrzeszeniom robotniczym w celu wznowienia produkcji. I chcąc jak gdyby podkreślić swój charakter szczerze demokratycznego, proletariackiego rządu, Komuna postanowiła, że wynagrodzenie wszystkich funkcji administracyjnych i rządowych nie może przekraczać normalnej płacy roboczej i że w żadnym wypadku nie powinno ono przewyższać 6.000 franków rocznie (mniej niż 200 rubli miesięcznie).

Te wszystkie środki świadczyły dość jasno o tym, że Komuna stanowi śmiertelną groźbę dla starego świata, zbudowanego na ucisku i wyzysku. Społeczeństwo burżuazyjne nie mogło więc spać spokojnie, póki na paryskiej radzie miejskiej powiewał czerwony sztandar proletariatu. I gdy wreszcie zorganizowanej sile rządowej udało się wziąć górę nad źle zorganizowaną siłą rewolucji, generałowie bonapartystowscy, pobici przez Niemców, ale odważni wobec zwyciężonych rodaków, ci fran-

cusczy Rennenkampfwie *) i Meller-Zakomelsey **) urządzili rzeź, jakiej Paryż jeszcze nie widział. Około 30.000 paryżan zostało zabitych przez rozbestwione żołdactwo, około 45.000 aresztowano i wielu z nich następnie stracono, tysiące skazano na ciężkie roboty i zesłanie. W ogóle Paryż stracił wtedy około 100.000 swoich synów, w tym najlepszych robotników wszelkich zawodów.

Burżuazja była zadowolona. „Teraz socjalizm wykończony jest na długo!” — mówił jej wódz, krwiożerczy karzeł Thiers, po krwawej łaźni, jaką sprawił wraz ze swoimi generałami proletariatu paryskiemu. Na próżno jednak krakały te burżuazyjne kruki. W jakie sześć lat po stłumieniu Komuny, kiedy wielu jej bojowników męczyło się jeszcze na katordze i zesłaniu, we Francji kielkował już nowy ruch robotniczy. Młode socjalistyczne pokolenie, wzbogacone doświadczeniami swoich poprzedników, lecz bynajmniej nie zrażone ich klęską, pochwyliło sztandar, który wypadł z dłoni bojowników Komuny, i wzniosło go pewnie i śmiało w górę wśród okrzyków: „Niech żyje rewolucja socjalna, niech żyje Komuna!” A jeszcze w kilka lat później nowa partia robotnicza i wzniecona przez nią w kraju agitacja zmusiła klasy panujące do wypuszczenia na wolność wziętych do

*) Rennenkampf P. K. (1854—1919) — zaciekle monarchista carski, generał, dowódca ekspedycji karnych przeciwko rewolucyjnemu ruchowi robotniczemu w latach 1905—1906. W r. 1919 rozstrzelany przez władzę radziecką w Taganrogu. — Red.

**) Meller-Zakomelski A. N. — jeden z najokrutniejszych siepaczy carskich; brał udział w zdławieniu powstania styczińskiego w 1863 w Polsce i powstania marynarzy rosyjskich w Sewastopolu w 1905 r., jak też w dławieniu rewolucyjnego ruchu robotniczego w latach 1905—6 w różnych częściach Rosji. — Red.

niewoli komunardów, którzy znajdowali się jeszcze w rękach rządu.

Pamięć bojowników Komuny czczą nie tylko francuscy robotnicy, lecz proletariat całego świata. Albowiem Komuna nie walczyła o spełnienie jakiegoś miejscowego czy ciasno narodowego zadania, lecz o wyzwolenie całej pracującej ludzkości, wszystkich skrzywdzonych i poniżonych. Jako czołowy żołnierz rewolucji socjalnej Komuna zyskała sobie sympatię wszędzie, gdzie cierpi i walczy proletariat. Obraz jej życia i śmierci, widok robotniczego rządu, który opanował i z górą dwa miesiące miał w swoich rękach stolicę świata, obraz bohaterskiej walki proletariatu i jego cierpienie po poniesionej klęsce — to wszystko zagrzało ducha milionów robotników, obudziło ich nadzieje i zrodziło w nich sympatię dla socjalizmu. Łoskot armat paryskich obudził pogrążone w głębokim śnie najbardziej zacofane warstwy proletariatu i stworzył wszędzie bodziec ku wzmożeniu rewolucyjno-socjalistycznej propagandy. Oto dlaczego dzieło Komuny nie zginęło; żyje ono dotychczas w każdym z nas.

Sprawa Komuny jest sprawą rewolucji socjalnej; jest sprawą całkowitego politycznego i gospodarczego wyzwolenia świata pracy; jest to sprawa proletariatu światowego. I w tym sensie jest ona nieśmiertelna.

Republika Rad w ten sposób jest tą poszukiwaną i w końcu znaną formą polityczną, w której ramach powinno się ziścić wyzwolenie gospodarcze proletariatu, ostateczne zwycięstwo socjalizmu.

Komuna Paryska była zalążkiem tej formy. Władza radziecka jest jej dalszą fazą rozwojową i jej uwieńczeniem.

(STALIN — Zagadnienia leninizmu)

Kierownictwo partii jest główną rzeczą w dyktaturze proletariatu, jeżeli mieć na względzie dyktaturę choćby do pewnego stopnia ugruntowaną i całkowitą, a nie taką, jaką była na przykład Komuna Paryska, która była dyktaturą niecałkowitą i nietrwałą.

(STALIN — Zagadnienia leninizmu)

Na barykadach Komuny

KOMUNA PARYSKA *)

(Krótki rys historyczny)

Rewolucja 18 marca 1871 roku.

W nocy z 17 na 18 marca wojska rządowe ruszyły na wzgórze Mont-Martre, położone w części północnej Paryża, celem zdobycia znajdujących się tam armat Gwardii Narodowej. Wczesnym rankiem wojska bez przeszkód doszły po bezludnych ulicach do Mont-Martre.

Przy działach znajdowała się nieliczna warta, która nie potrafiła przeciwstawić się przemocy. Działa wpadły w ręce żołnierzy, którzy jednak nie mogli ich od razu zabrać, gdyż nie było koni; przysłano je z opóźnieniem, dopiero na godzinę ósmą rano. W tym czasie miasto zostało zaalarmowane. Robotnicy i gwardziści otoczyli Mont-Martre. Na czele zgromadzonych stanął Okręgowy Komitet obserwacyjny, który ruszył na Mont-Martre, otoczony tłumem kobiet. Kolumna wyruszyła na wzgórze Mont-Martre i zbliżyła się do stojących w szeregach żołnierzy. Generał Lecomte dał rozkaz oddania salwy do tłumu. W tym momencie jednak z szeregów żołnierzy

*) Rozdział z książki „Nowaja Istoria“ (1870 — 1918) Moskwa 1948.

wystąpił sierżant i rzucił komendę: „Na ramię broń!“ Żołnierze usłuchali komendy nie generała, lecz sierżanta. Odmówili oni strzelania do tłumu. Lecomte ponownie wydał komendę: „Ognia!“ — lecz w tej samej chwili został aresztowany. Żołnierze zaczęli się bratać z gwardziściami narodowymi. Mont-Martre wraz z ustawionymi na nim działami pozostał w rękach Gwardii Narodowej. Thiers zrozumiał, że Paryż rewolucyjny nie da się rozbroić. Wydał on rozkaz natychmiastowego wyprowadzenia ze stolicy resztek armii regularnej i w pośpiechu uciekł do Wersalu, by zebrać siły do walki z Paryżem.

Do wieczora 18 marca oddziały Gwardii Narodowej zajęły wszystkie urzędy państwowe. Na ratuszu i gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych powiewały czerwone sztandary.

18 marca 1871 r. wybuchła pierwsza w świecie rewolucja proletariacka. Po raz pierwszy w historii została zniesiona władza burżuazji. Władza w Paryżu znalazła się w rękach Komitetu Centralnego Gwardii Narodowej, wybranego przez uzbrojonych robotników i rzemieślników stolicy. Pomiędzy proletariatem i burżuazją rozpoczęła się wojna domowa.

Proletariat francuski jednak odczuwał brak silnej partii rewolucyjnej, która by mogła należycie pokierować walką. Komitet Centralny Gwardii Narodowej popełnił szereg błędów. Nie potrafił on wykorzystać do końca zwycięstwa 18 marca i nie przeszkodził Thiersowi w wyprowadzeniu wszystkich żołnierzy z Paryża. Żołnierze niechętnie opuszczali Paryż, wbrew woli przeniesiono ich do Wersalu celem osłabienia sił powstańczych, a, co za tym idzie, wzmocnienia sił kontrrewolucjonistów. Drugim błędem popełnionym przez Komitet Centralny by-

ła nadmierna i szkodliwa gorliwość w przekazaniu władzy obranemu organowi. Komitet Centralny pośpiesznie zakomunikował, iż uważa swe pełnomocnictwa za tymczasowe. Miały one trwać jedynie do czasu wybrania, drogą głosowania powszechnego, Rady Komuny Paryskiej.

Członkowie Komitetu Centralnego obawiając się zarzutu „bezprawnego objęcia władzy“ tracili drogi czas na przeprowadzenie wyborów do Komuny w momencie, gdy należało natychmiast uderzyć na Wersal. Trzeba było jak najprędzej zdusić gniazdo kontrrewolucyjne, zanim by Thiers zdążył skoncentrować siły kontrrewolucji.

Ten krótki, ale w sytuacji bojowej niezwykle cenny czas — od początku powstania 18 marca do wyborów do Rady Komuny 26 marca — gdy gwardziści narodowi siedzieli bezczynnie, wersalczycy wykorzystali na organizowanie swych sił.

Proklamowanie Komuny.

26 marca odbyły się wybory do Rady Komuny. Wybranych zostało 85 osób, spośród których 21 wybranych z dzielnic burżuazyjnych okazało się wrogami Komuny i w krótkim czasie z niej się wycofało. Wśród pozostałych było 30 robotników, reszta członków Rady składała się z inteligencji demokratycznej, urzędników, lekarzy, nauczycieli, dziennikarzy itp. W ten sposób Rada Komuny składała się z przedstawicieli klasy pracującej Paryża. Rola kierownicza pozostawała w rękach robotników.

28 marca proklamowano Komunę.

Dzień zdobycia władzy przez klasę robotniczą Paryż obchodził radośnie i uroczystie.



W Radzie Komuny nie było jednej partii. Walczyły tam dwa ugrupowania: „większość“ i „mniejszość“. Rdzeniem „większości“ byli blankiści. „Mniejszość“ składała się z prudonistów. Walka tych dwu ugrupowań w znacznym stopniu osłabiała Radę Komuny.

Blankiści kierowali obroną Paryża i walką z kontrrewolucjonistami. Byli oni zwolennikami silnej dyktatury rewolucyjnej, ale jednocześnie byli słabo powiązani z robotnikami i dążyli do ustanowienia dyktatury grupki rewolucjonistów, a nie dyktatury klasy robotniczej. Wśród blankistów znaczną rolę odgrywał młody dziennikarz, Raoul Rigault, zajmujący stanowisko prokuratora Komuny. Rigault, chociaż późno, przeszedł jednak na drogę bezlitosnej walki z wrogami rewolucji. W odpowiedzi na bestialstwa wersalczyków zaczął stosować metodę terroru klasowego.

Prudoniści, stanowiący „mniejszość“ Rady Komuny, byli przeciwnikami używania terroru w stosunku do wrogów rewolucji i nie uważali za konieczne wprowadzenie rewolucyjnej dyktatury.

Komuna jako nowy typ ustroju państwowego, załączek władzy radzieckiej.

Komuna nie mogła wykorzystać starego, burżuazyjnego aparatu państwowego Francji. Podobnie jak aparat każdego innego państwa burżuazyjnego, był on przystosowany do gnębienia mas pracujących. Po rewolucji 18 marca część urzędników uciekła do Wersalu, a pozostali powitali nową władzę sabotażem. Starali się oni w rozmaity sposób przeszkodzić Radzie Komuny w za-

prowadzeniu w Paryżu porządku po linii administracyjnej i utrudniali organizowanie przygotowań do walki z wersalczykami.

I tak na przykład robotnik Theiss, którego Rada Komuny mianowała kierownikiem resortu pocztowego, znalazł prawie wszystkie urzędy pocztowe zamknięte. Na szeroką skalę stosowano sabotaż na kolei. Sabotaż urzędników przekonywał komunardów naocznie o konieczności zburzenia starej maszyny państwowej. Przed Komuną stało najważniejsze zagadnienie: na miejsce starego stworzyć swój własny, zupełnie nowy aparat państwowy.

Zadanie to Komuna poczęła realizować od armii. Pierwszym dekretem wydanym przez Komunę był dekret o rozwiązaniu starej armii, którą zastąpiła Gwardia Narodowa.

Najwyższy organ państwowy — Rada Komuny została wybrana drogą głosowania powszechnego. Członek Komuny, do którego stracono zaufanie, mógł być przez swych wyborców odwołany.

Rada Komuny miała prawo wydawania ustaw. Dla wprowadzenia tych ustaw w życie Komuna utworzyła 10 komisji (finansów, aprowizacji, bezpieczeństwa publicznego itp.). Na czele poszczególnych komisji stanęli członkowie Rady Komuny. W ten sposób członkowie Rady Komuny wprowadzali w życie ustawy wydane przez Radę. Komisje zdawały sprawozdanie ze swej działalności przed Radą Komuny. Urzędnicy państwowi otrzymywali wynagrodzenie za swą pracę, które równało się średniemu zarobkowi robotnika. Komuna zlikwidowała starą policję. Porządek w mieście był utrzymywany przez uzbrojonych robotników. Kościół został oddzielony od państwa. Wiele kościołów i klasztorów zamieniono na kluby ludowe.

Komuna prowadziła swą pracę w oparciu o robotników, związki zawodowe i kluby rewolucyjne. Kobiety — robotnice okazały Komunie wielką pomoc. Kobiety brały aktywny udział w obronie Paryża przed wersalczykami. Zorganizowany został nawet batalion kobiet pod dowództwem nauczycielki, Luizy Michel. Robotnicy okazywali pomoc swej władzy ze wszystkich sił, demaskowali kontrrewolucyjną działalność burżuazji, brali czynny udział w walce ze spekulacją. Cała działalność Komuny świadczy o tym, że była ona państwem nowego typu — państwem proletariatu. Komuna Paryska była pierwszą próbą dyktatury proletariatu. Była ona pierwotnym wzorem władzy radzieckiej. *„Republika Rad — mówił tow. J. W. Stalin — w ten sposób jest tą poszukiwaną i w końcu znaną formą polityczną, w której ramach powinno się ziścić wyzwolenie gospodarcze proletariatu, ostateczne zwycięstwo socjalizmu.*

Komuna Paryska była zalążkiem tej formy. Władza radziecka jest jej dalszą fazą rozwojową i jej uwieńczeniem“. (Stalin — Zagadnienia leninizmu).

Działacze Komuny.

Komuna wysunęła wielu świetnych organizatorów ze środowiska robotniczego. Varlin, kierownik zaopatrzenia, członek komisji wojskowej, należał do wybitnych działaczy Komuny. Varlin urodził się w biednej rodzinie chłopskiej. Mając lat 13 znalazł się w Paryżu i wstąpił na praktykę do intrologatora. Pracując po 12 — 14 godzin na dobę znajdował jednak czas na czytanie i samokształcenie. Od 18 roku życia brał czynny udział w ruchu robotniczym.

organizował strajki, związki zawodowe, kasy wzajemnej pomocy, spółdzielnie robotnicze.

W krótkim czasie Varlin stał się we Francji jednym z kierowników I Międzynarodówki. Został on dwukrotnie aresztowany, lecz więzienie go nie złamało.

Varlinowi nie udało się uniknąć wpływu prudonizmu, tak silnego we francuskich sekcjach Międzynarodówki.

Dopiero znajomość z Marksem w znacznej mierze pomogła mu uwolnić się od wielu mylnych idei Prudona. Między innymi Varlin uświadomił sobie, iż robotnicy nie powinni stronić od walki politycznej. Varlin jednak nie potrafił całkowicie zerwać z prudonizmem.

Inny robotnik, zegarmistrz Frankel, kierował komisją pracy, rytownik Theiss stał na czele resortu pocztowego. Stanowiska kierownicze w nowej administracji Paryża i w batalionach Gwardii Narodowej zajęły tysiące proletariuszy. Wśród wodzów Komuny obok robotników była niemała ilość przedstawicieli inteligencji. Taką na przykład była nauczycielka, Luiza Michel, i wiele innych.

Socjalno-ekonomiczna polityka Komuny.

W ciągu 72 dni swego istnienia Komuna Paryska prowadziła zażartą walkę z wersalczykami. Uniemożliwiało to Komunie wprowadzenie w życie w całej pełni zdobyczy socjalnych i ekonomicznych państwa proletariackiego. Jednak to, co Komuna zdążyła przeprowadzić, wskazuje na jej troskę o klasę pracującą.

Wszystkie przedsiębiorstwa, których właściciele uciekli z Paryża, zostały oddane w ręce robotników. Komisja pracy, wyłoniona przez Radę Komuny, organizowała w tych przedsiębiorstwach wytwórczość dając pra-

cę bezrobotnym. Robotnicy wspólnie z administracją układali plany produkcji i wydawali zarządzenia dotyczące porządku wewnętrznego. W przedsiębiorstwach, których właściciele pozostali na miejscu, Komuna wyznaczyła kontrolę nad ustaleniem cen produkcji. Rada Komuny wydała dekret zabraniający stosowania kar pieniężnych względem robotników. Biedota otrzymała z powrotem zastawione w lombardzie rzeczy; został prolongowany termin opłaty czynszu; zaczęto robotników przenosić z ciemnych i wilgotnych piwnic do domów bogaczy, którzy uciekli do Wersalu.

Komuna wydała dekret o bezpłatności nauczania. Otwarto nowe szkoły, nauczycielom zaś podwyższono wynagrodzenie. Komuna opracowała plan otwarcia żłobków i przedszkoli dla dzieci robotnic oraz podjęła cały szereg innych przedsięwzięć dla dobra klasy pracującej.

Komuna i chłopstwo.

Komuna nie rozumiała w pełni ogromnego znaczenia sojuszu z chłopstwem. Pomimo to czyniła pewne kroki, by przeciągnąć chłopstwo na swą stronę. Komuna Paryska, otoczona ze wszystkich stron przez wrogów, próbowała zwracać się bezpośrednio do chłopstwa. W dwa dni po zwycięstwie rewolucji jedna z odezw, ogłoszona na łamach oficjalnego organu Komuny, wyrażała pewność, iż „Prowincja przyłączy się do stolicy“.

Komuna wydała odezwę do chłopstwa nakładem 100.000 egz., podpisaną „Robotnicy Paryża“, która głosiła:

„Bracie, jesteś oszukiwany. Interes nasz jest wspólny. Zapamiętaj dobrze, ty, robotniku wiejski, biedny robotniku dniówkowy, drobny posiadacz wyzyskiwany

przez lichwiarza, dzierżawcę, właściciela folwarku, farmera; wy wszyscy, którzy siejecie, żniecie i pracujecie w pocie czoła, by większa część plonów waszego trudu przypadła w udziale temu, kto nic nie robi. Paryż chce ziemi dla chłopów, narządzi pracy dla robotników, pracy — dla wszystkich“.

Odezwę tę rozrzucono z balonów powietrznych nad wioskami. Innej łączności nie można było nawiązać. Paryż był otoczony od zachodu i od południa przez wersalczyków, od północy zaś i od wschodu — przez armię niemiecką, która zatrzymała się pod Paryżem w myśl postanowień rozejmu. Oczywiście, że w tych warunkach było niezmiernie trudno nawiązać ściślejszy kontakt z chłopstwem. Komunie nie udało się stworzyć więzi klasy robotniczej z biedniejszą warstwą chłopstwa. Kontrrewolucjoniści natomiast szerzyli wśród chłopstwa szeroką propagandę starając się podjudzać chłopstwo przeciwko klasie robotniczej. Głównym propagandzistą kontrrewolucji był kler.

Komuna Paryska wpłynęła w miastach prowincjonalnych poważnie na wzrost ruchu robotniczego. W Lionie, Marsylii, Tuluzie, Creusot i w innych ośrodkach powstały Komuny. Ponieważ jednak nie udało się im nawiązać kontaktu z Komuną Paryską ani zorganizować łączności pomiędzy sobą, zostały one wkrótce zdławione przez wersalczyków.

Walka Komuny z wersalczykami.

Rząd wersalski w pierwszych dniach po rewolucji 18 marca prawie nie posiadał wojska. Thiers jednak potrafił wykorzystać w pełni przerwę, którą mu dał niezdecydowany Komitet Centralny Gwardii Narodowej: już po

dwóch tygodniach rząd wersalski rozporządzał armią 40 tysięcy żołnierzy. 2 kwietnia rozpoczęła się ofensywa armii wersalskiej na Paryż. Próby komunardów, aby przejść do kontrataku, spełzały na niczym. Komunardzi walczyli jak lwy, lecz ich operacje bojowe były źle przygotowane; dowództwo nie stało na wysokości zadania. W ciągu kwietnia i na początku maja wersalczyki zajęli większą część fortów otaczających Paryż od zachodu i od południa. Od połowy kwietnia Paryż znajdował się pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim. Wewnątrz miasta grasowali szpiegowie i szkodnicy, w walce z którymi Komuna w ciągu dłuższego czasu nie wykazywała dostatecznego zdecydowania. Bynajmniej nie od razu zostały zamknięte pisma reakcyjne, a dopiero w kwietniu Komuna przystąpiła do aresztowań wśród zwolenników Wersalu. Komuna popełniła także szereg innych błędów. I tak na przykład Komuna nie ujęła w swoje ręce Banku Francuskiego, w którym pozostawały olbrzymie sumy pieniężne, a nawet nie zdołała przeszkodzić kierownictwu banku w przekazaniu pieniędzy Thiersowi.

Agenci Thiersa ukrywający się w Paryżu zdołali się wkraść do sztabu generalnego Komuny. Jeden ze szpiegów wersalskich starał się bezskutecznie przekupić sławnego generała Komuny, polskiego emigranta — rewolucjonistę, Jarosława Dąbrowskiego. Kontrrewolucjonistom udało się wysadzić w powietrze fabrykę amunicji oraz popełnić wiele innych zbrodni.

Tydzień majowy.

10 maja 1871 r. we Frankfurcie nad Menem, w czasie gdy walka trwała pod murami Paryża, przedstawiciele Thiersa, zdrajcy własnej ojczyzny, podpisali z Bis-

marckiem haniebnym traktat pokojowy. W myśl tego traktatu Alzacja i Lotaryngia przechodziły w ręce Niemiec oraz Francja musiała zapłacić kontrybucję w wysokości 5 miliardów franków w złocie.

Mimo iż Bismarck tak obrabował Francję, zwyciężeni i zwycięscy, burżuazja francuska i obszarnicy pruscy, Thiers i Bismarck, znaleźli wspólny język i porozumieli się co do wspólnej walki przeciwko Komunie Paryskiej. Bismarck przedtem jeszcze dał pozwolenie na powiększenie armii Thiersa, chociaż to było sprzeczne z warunkami traktatu pokojowego. Następnie zwolnił on z niewoli 100 tysięcy żołnierzy francuskich, których Thiers mógł użyć do walki przeciwko komunardom. Wreszcie Bismarck wyraził zgodę na przepuszczenie wojska wersalskiego przez pruską linię dyzlokacji celem uderzenia na komunardów od północy, skąd oni właśnie ataku się nie spodziewali.

20 maja wersalczyki rozpoczęli generalny szturm miasta. Najslabsze miejsce obrony komunardów zostało wskazane przez jednego ze zdrajców. Na drugi dzień, 21 maja, udało się wersalczykom od strony południowo-zachodniej przez bramę Saint-Cloud wtargnąć do Paryża. Na ulicach miasta rozpoczęła się zaciepka i okrutna walka, która przeszła do historii pod nazwą „tygodnia majowego“. Wtedy to przejawiało się w całej wielkości bohaterstwo klasy robotniczej. Liczne barykady zagrażały drogę nieprzyjacielowi. Walka toczyła się o każdą ulicę, o każdy dom, o każdą piędź ziemi. Bohaterowie Komuny ginęli w nierównym boju, lecz nie poddawali się. Jarosław Dąbrowski, jeden z wybitnych dowódców Komuny, który dokazywał cudów bohaterstwa, zginął na barykadach wśród innych. Szczególnie zaciepki opór

stawiali komunardzi w dzielnicach robotniczych. Tu walczyły nawet kobiety i dzieci. 10 tysięcy kobiet — robotnic brało udział w walce na barykadach; opatrywały one rannych, budowały barykady, walczyły na nich. Robotniczy Paryż zalany krwią, oświetlony płomieniem pożarów bohatersko bronił się w ciągu całego tygodnia. 27 maja wersalczycy opanowali dzielnicę robotniczą Belleville. Na cmentarzu Pere Lachaise zgromadziło się około 200 komunardów. Wersalczycy ogniem artyleryjskim rozerwali bramę cmentarną i wdarli się do środka. Lecz komunardzi walczyli w dalszym ciągu.

„Garstka bohaterów walczy na cmentarzu przeciwko całej armii“ — pisze w swych wspomnieniach Luiza Michel. „Walka się toczy wśród grobów, w rowach i grobowcach; walczą wręcz na szable, na bagnety, kolbami; wersalczycy przeważający liczebnie, lepiej uzbrojeni, którzy zachowali siły do rozprawienia się z Paryżem, bezlitośnie niszczą bohaterów“.

Wieczorem garstka bohaterskich obrońców Komuny została okrążona i rozstrzelana pod murami cmentarza.

Dla upamiętnienia tego wydarzenia klasa pracująca Paryża rok rocznie urządza pochód żałobny do „Muru Komunardów“.

28 maja na ulicy Ramponaux w dzielnicy proletariackiej padła ostatnia barykada. Kontrrewolucja zwyciężyła.

Rozpoczęła się bezlitosna rozprawa ze zwyciężonymi. W rozprawie tej najbardziej ze wszystkich „wyróżnił“ się generał markiz Galliffet. Rozstrzeliwał on ludzi na skutek najlżejszego podejrzenia. Niektórych starców rozstrzeliwano jedynie za to, że pamiętali oni rewolucję

1848 roku i mogli brać w niej udział. Komunardzi szli z dumnie podniesioną głową, wznosząc okrzyki: „Niech żyje Komuna!“ Kontrrewolucjoniści ze szczególnym okrucieństwem traktowali przywódców klasy robotniczej. Między innymi został schwytany Varlin.

Ze związanymi w tyle rękami, obrzucany przekleństwami, w ciągu całej godziny prowadzony on był ulicami Mont-Martre. Głowa jego pocięta szablami w końcu wyglądała jak krwawy kawał mięsa. Gdy Varlin nie był już w stanie ani iść, ani stać, wtedy temu bohaterowi obrońcy klasy robotniczej kazano usiąść na ulicy Rosiers i tam został rozstrzelany. Wersalczyk, który rozstrzelał Varlina, skradł jego zegarek.

30 tysięcy komunardów rozstrzelano, ponad 40 tysięcy wtrącono do więzienia i zesłano na katorgę w odległe kolonie. Większość zesłanych zginęła przy pracy ponad siły, wskutek straszliwych warunków i chorób. Rozstrzeliwano kobiety hafciarki, posądżane o podpalanie, oraz dzieci robotników.

Panie z burżuazji przychodziły do więzień, by się zniecać nad uwięzionymi i przyglądać się egzekucjom bohaterów.

Jeden z uczestników Komuny, Artur Arnould, w swojej książce „Męczennicy Komuny“ opisuje, iż trupy leżały na ulicach na przestrzeni tysięcy metrów. Gdziekolwiek lśniły kałuże krwi. Zdarzało się, iż wersalczycy wpadali do szpitali, brali na bagnety operowanych komunardów i wyrzucali ich przez okno. Paryż został zamieniony w krwawą rzeźnię. Nieliczni z aktywnych uczestników Komuny, którym udało się uratować przed katami, zmuszeni byli opuścić ojczyznę.

Robotnik Eugeniusz Pottier, bojownik Komuny, autor hymnu proletariackiego „Międzynarodówka“, również znalazł się wśród emigrantów. Był to stary rewolucjonista, który walczył na barykadach jeszcze w roku 1848.

*Historyczne znaczenie Komuny
i wnioski z jej doświadczenia.*

Komuna Paryska istniała krótko, lecz odegrała ona wielką rolę historyczną. Była to pierwsza rewolucja proletariacka. Rewolucja ta nie odniosła zwycięstwa. Komuna Paryska upadła przede wszystkim dlatego, iż klasa robotnicza nie była jeszcze dojrzała. Klasa robotnicza nie posiadała wtedy rewolucyjnej partii marksistowskiej, która byłaby zdolna poprowadzić robotników do zwycięskiej walki przeciwko burżuazji. „...Kierownictwo partii jest główną rzeczą w dyktaturze proletariatu, jeżeli mieć na względzie dyktaturę choćby do pewnego stopnia ugruntowaną i całkowitą, a nie taką, jaką była na przykład Komuna Paryska, która była dyktaturą niecałkowitą i nietrwałą“. (Stalin, Zagadnienia leninizmu). Brak prawdziwie rewolucyjnej partii proletariackiej spowodował błędy Komuny.

Po 18 marca komunardzi zwlekali z atakiem na Wersal. Przywódcy Komuny nie odważyli się wstąpić na drogę terroru rewolucyjnego i tłumili kontrrewolucję z niedość bezwzględną stanowczością: „Należało niszczyć swych wrogów — mówił Lenin — lecz proletariat starał się moralnie oddziaływać na nich, a zaniechał podczas wojny domowej działań o charakterze czysto wojskowym“ (Lenin, Dzieła, wyd. 2 i 3, t. XII, str. 163). „Mniejszość“ w Radzie Komuny nie rozumiała zupełnie konieczności dyktatury rewolucyjnej.

Komuna zmuszona była walczyć w ciężkich warunkach — władza jej działała wyłącznie na obszarze stolicy, która była otoczona ścisłym pierścieniem blokady nieprzyjacielskiej.

Ważną przyczyną upadku Komuny było to, iż nie potrafiła ona nawiązać sojuszu z chłopstwem.

Pomimo błędów popełnionych przez Komunę pamięć o bohaterskiej walce robotników Paryża w świadomości całej klasy pracującej świata będzie żyła wiecznie.

Marks podziwiał bohaterską postawę komunardów, którzy „szturmowali niebo“.

Komuna wywarła duży wpływ na walkę klasy robotniczej: „Obudziła ona — mówi o Komunie Lenin — w Europie ruch socjalistyczny, ujawniła siłę wojny domowej... Komuna nauczyła proletariat europejski stawiać konkretne zadania rewolucji socjalistycznej“. (Lenin, Dzieła, wyd. ros., t. XII, str. 163).

Komuna wzbogaciła doświadczenie walki rewolucyjnej proletariatu. Wykazała ona konieczność rozbicia starego aparatu państwowego, udowodniła w praktyce konieczność dyktatury proletariatu. Komuna ujawniła z całą siłą konieczność sojuszu robotników i chłopów. Komuna udowodniła, iż zwycięstwo nad wrogami proletariatu można osiągnąć jedynie pod kierownictwem prawdziwie rewolucyjnej partii.

Partia bolszewików pod kierownictwem Lenina i Stalina wykorzystała przykład Komuny Paryskiej w walce o zwycięstwo rewolucji socjalistycznej.

PROKLAMOWANIE KOMUNY

REPUBLIKA FRANCUSKA

Wolność — Równość — Braterstwo

KOMUNA PARYSKA

Obywatele!

Ukonstytuowała się Wasza Komuna.

Wybory 26 marca usankcjonowały zwycięską Rewolucję. Gdy nikczemna przemoc najeźdźcy chwyciła was za gardło, prawem samoobrony wyparliście poza bramy miasta rząd, który chciał was zbezczęścić i narzucić króla. Dziś złoczyńcy, których ścigania poniechaliście, nadużywają waszej wspaniałomyślności i u samych bram stolicy organizują ognisko monarchicznego spisku. Starają się wywołać wojnę domową, działają przekupstwem i wiążą się z sojusznikami wszelkiego gatunku, ośmielają się nawet żebrać o poparcie zagranicy.

Te niegodziwe machinacje oddajemy pod sąd Francji i całego świata.

Obywatele!

Oto stworzyliście instytucje, które stawiają czoła tym zakusom.

Jesteście panami swego losu. Wysunięta przez was reprezentacja naprawi przy waszej pomocy zło wyrządzone krajowi przez obaloną władzę. Przemysł znalazł się w niebezpieczeństwie, praca stanęła, transakcje han-

dlowe zostały sparaliżowane. Teraz otrzymają one silny impuls.

Poczynając od dnia dzisiejszego wchodzi w życie ustawa o czynszu.

Od jutra — ustawa o terminach *).

Wszystkie instytucje użyteczności publicznej podejmą usprawnioną działalność. Jedyna odtąd siła zbrojna stolicy, Gwardia Narodowa, zostanie zreorganizowana. Takie będą nasze pierwsze czynności.

Wybrańcy Ludu żądają tylko jednego: aby utrwalić tryumf Republiki, muszą mieć poparcie i zaufanie Ludu!

Sami zaś swój obowiązek wypełnią.

KOMUNA PARYSKA

*) Spłaty długów. — Red.

PROKLAMOWANIE KOMUNY

28 marca Komuna została ogłoszona na Ratuszu. „Co za piękny dzień germinalu!“ *) mówił mi siedzący na trybunie Siffrelin. Płakał. Becker, bardzo blady, kiwał głową. Za nami wielka czerwona draperia opadała z dachu zakrywając fronton wraz z posągami Henryka IV. Gmach był istotnie nasz. Czerwone proporczyki o złotej frendzli powiewały nad naszymi głowami. Czulem się jak w teatrze. Przed nami cały plac połyskiwał od ciasno zgrupowanych szczękających bagnatów, od chorągiewek z dużymi czarnymi numerami poszczególnych batalionów, od czerwonych, trójbarwnych chorągwi uwieńczonych frygijską czapką. Śpiewano „Marsylianke“ i „Pieśń odjazdu“ i powracano znów niestrudzenie do „Marsylianeki“. Małe kwadratowe czapeczki wojskowe, poskręcane, pozgniatane, tańczyły w powietrzu. Pomieszani z żołnierzami mieszczanie wymachiwali, i oni również, cylindrami, a kilku spośród nich także i czapkami wojskowymi. Niemniej opętane były kobiety. Zdzierały sobie gardła krzykiem: „Niech żyje Komuna!“ i zdawało się, że pragną unieść się w powietrze ponad czapki żołnierskie i bagnety.

*) Germinal — w kalendarzu republikańskim siódmy miesiąc, od 21 marca do 16 kwietnia.

Później przy odgłosie trąb i bębnow nastąpiła defilada prowadzonych przez Brunela oddziałów; przez cały ten czas armaty grzmiały nad Sekwaną, a ze wszystkich okien i na wszystkich dachach placu powiewały chusteczki. U podnóża trybuny jacyś poczcwiwcy ze starannie utrzymanymi brodami, w surdutach, z odznaką dzikiej róży u klapy, jakieś damy w kapeluszach z całych sił oklaskiwali Komunę, gwałtownym ruchem zwracając twarze ku nam, ku niebu, w którym ginęły wieże Ratusza, dzwony i chorągwie. Potężniejsza od innych, dźwięczniejsza „Marsylianika“ wypełniła przestrzeń i zdawała się w niej utrwać — „Marsylianika“ ze śpiżu, dobywająca się z piersi potężnych i głębokich, wyrzucających nie dźwięki, lecz ogień.

KARMANIOLA

żywo *solo* oprac. muz. Elżbieta BEKIER

Ko - mu - na Pa-ryż ży-je dziś, Ko - mu - na Pa-ryż ży-je dziś Weź strze-lbę, ku-le, wro-ga bij, weź strze-lbę, ku - le, wro - ga bij Nie wy-gra z na-mi nikt, dziś o - ni ju - tro my, bę -

dziem się krwa-wo mści-li przy hu-ku dział, przy hu-ku dział, bę - dziem się krwa-wo mści-li, niech ży-je cel - lny strzał

KARMANIOLA *)

Komuną Paryż żyje dziś, *bis*
Weź strzelbę, kule, wroga bij! *bis*
Nie wygra z nami nikt, *bis*
dzisiaj oni, jutro — my. *bis*
Będziem się krwawo mścić.
Przy huku dział, przy huku dział
Będziem się krwawo mścić,
Niech żyje celny strzał!

Robotnik dzisiaj domaga się *bis*
Żelaza, prochu, chleba. *bis*
Żelaza w pracy trza,
Proch się dla wrogów ma,
A chleb dla głodnych braci.
Blednie wróg, blednie wróg,
A chleb dla głodnych braci.
Vivat huk, armat huk!

Hej, dalej więc, dalej więc, *bis*
Całą burżuazję na latarnię! *bis*
Hej, dalej więc, dalej więc,
Całą burżuazję precz na hak!
Zatańczmy taniec nasz,
Blednie wróg, blednie wróg.
Zatańczmy taniec nasz.
Vivat huk, armat huk!

*) Melodia i pierwotny tekst powstały w r. 1792 podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Ląd śpiewał tę pieśń podczas rewolucji 1830, 1848 i na barykadach Komuny Paryskiej. W czasie każdej rewolucji powstawały nowe strofy układane przez bezimiennych autorów. Dwie pierwsze strofy pochodzą z czasów Komuny Paryskiej.

Pieśń nasza zabroniona jest, *bis*
 Kto śpiewa ją, tych biją fest, *bis*
 Lecz my z zakazów drwim.
 Idziemy z śpiewem tym.
 I nikt nam ust nie zatka.
 Blednie wróg, blednie wróg,
 I nikt nam ust nie zatka,
 Vivat huk, armat huk!

LUIZA MICHEL *)

TANIEC GRANATÓW

Choć groźnie grają kulomioty
 I strumieniami płynie krew,
 Prą naprzód komunardów rotę,
 Rozbrzmiewa Marsylianki śpiew.
 Jak lew Komuny żołnierz walczy,
 Strzałom Montmartru echo wtórzy.
 Napróżno sili się Wersalczyk
 Rewolucyjnej oprzeć burzy.

Niechaj poległych matki, żony,
 U ocalałych znajdą schron.
 Bojownik nasz nieustraszony
 Z odwagą swój powita zgon.
 Gdy wre bitewna zawierucha
 Kocham, Montmartrze, synów twych,
 Ich hart, ich niezłomnego ducha
 I bohaterskie szturmy ich.

Tłum. Artur Sandauer

*) Bohaterska uczestniczka Komuny, autorka pięknych wspomnień i wierszy o Komunie.

Z ODEZWY KOMITETU OCALENIA PUBLICZNEGO

22 maja. Wojska wersalskie w Paryżu. Na ulicach miasta — odezwa podpisana przez Komitet Ocalenia Publicznego.

„Paryżanie! Od walki, którą podjęliśmy, nie może się nikt uchylić. Jest to bowiem walka przeszłości z przyszłością, Wolności z despotyzmem. Równości przeciw przywilejom. Braterstwa przeciw niewolnictwu, solidarności ludów przeciw egoizmowi gnębicieli. Do broni! Niechaj rewolucyjny Paryż, Paryż wielkich dni, dopełni swego obowiązku“.

NA BARYKADZIE

W XI merostwie nieznośny szum. Dlaczego nie zamykają drzwi? O czym oni mówią? Arnold przepycha się przez tłum. Gestykulując rękami wpatruje się błagalnym wzrokiem w Delescluze'a¹. Tłumaczy mu coś.

— No dobrze, dobrze. O cóż chodzi?

— Sekretarz ambasady amerykańskiej przyrzekł interweniować, jeśli oddziały Komuny oddadzą się w ręce Prusaków.

Delescluze podniósł ciężkie powieki. Czego ten człowiek chce od niego? Ach, gdyby można było na chwilę oderwać się od tego gwaru. A tamten znowu swoje. Dochodzą go strzępy słów.

— Komisja. Z trzech osób. Natychmiast. Rozpocząć układy.

„Z miękkiej, lichej gliny urobiono cię, Arnold“ — uśmiecha się do siebie. Dokoła twarze śmiertelne, twarze skazańców. Spływa po grzbiecie wzdłuż ciała lekki dreszcz i wyłania się tu, w tym pokoju natłoczonym obcymi ludźmi, wspomnienie o siostrze Lucynie, wiernej strażniczce jego życia. Więc do niej ostatnie słowa, nim zejdzie na dół i umrze razem z Komuną:

¹ Wymawiaj: Deleskliz; był to wybitny działacz Komuny.

„Moja dobra siostrzo! nie chcę i nie mogę być igraszką ani ofiarą tryumfującej reakcji. Przebac mi, że odchodzę, ale nie mam już odwagi przeżyć nowej porażki po tylu innych. Żegnaj, żegnaj!...“

Zwinał kartkę i włożył do kieszeni. I znowu Arnold.

— Obywatelu Delescluze, pomyślcie o naszym losie!

Ależ tak, myśli o tym, myślał jeszcze wcześniej, gdy wersalczyków nie było w Paryżu, i dlatego właśnie powierzył Dąbrowskiemu obronę miasta.

— Nie, obywatelu Arnold — Delescluze dźwignął się z krzesła i oczy jego zapaliły się szarym blaskiem — nie pójdziemy na żadne układy. Sprawę doprowadzimy do końca.

Arnoldowi trzęsą się szczęki, nie daje za wygraną.

— Pozwólcie, obywatelu — przybliża się do Delescluze'a i obiema rękami usiłuje go zatrzymać. — Co tu pomoże desperacja? Przegraliśmy wszystkie atuty. Miejmy odwagę przyznać się do tego.

— Odwagę — wykrzywia lekko wargi Delescluze — gdzież mam jej szukać? W ambasadach? W sztabie okupantów, gdzie Thiers znalazł sprzymierzeńców?

— Ale nasze żony, nasze dzieci...

Twarcz Delescluze'a stężała. Znikły z niej ostatnie ślady znużenia. Była już tylko jednym płomieniem stanowczości.

— Nasze żony i dzieci walczą na barykadach. Obywatelu! — objął płonącym spojrzeniem tłoczących się dokoła gwardzystów. — Pokażmy naszym żonom i dzieciom, że jeśli trzeba, potrafimy umrzeć bez lęku. Luiza Michel nie czeka zmiłowania.

A Luiza Michel z karabinem na ramieniu szła szybkim krokiem ulicą Clignancourt¹. Nie do wiary: w samym sercu Paryża Thiers posiadał swój sztab generalny. Stąd kierował ruchami wojsk. Hrabia Beaufort², ten szczywany lokaj wszystkich koronowanych, wywahał, że Montrouge³, Vanves⁴ i Vaugirard⁵ są najslabiej bronione — i już poszła wiadomość do Wersalu.

Nie, o chytrym lisie Beaufort nikt nie pomyślał, ale za to niektórzy gorliwcy sfabrykowali potwarz na Dąbrowskiego. Lefrançais⁶ dawno już mówił, że to robota Thiersa. Rozsadzić Komunę od wewnątrz — o, uśmiecha mu się to po tym, gdy połamał sobie zęby przy fortach. Ale Dąbrowski otrząsnął się z tej potwarzy jak z obmierzłego robactwa. Zresztą on nie ma nawet czasu myśleć o tych podstępnych zabiegach wrogów. Z oczami zaczerwienionymi od bezsenności, na wpół żywy ze zmęczenia, pocwałował do Porte Saint-Cloud⁷. Pozycja była prawie pusta. Gdzie się podzieli obrońcy? La Cecilia opracowuje w Ratuszu coraz to fantastyczniejsze plany, a tu każda chwila jest droga. Armaty wałęsają się jak wściekłe.

Generał przysiadł na kamieniu i naprędce skreślił kilka słów:

„Do Komitetu Ocalenia Publicznego. Wersalczycy mogą lada chwila wtargnąć do miasta przez Saint-Cloud. Zrobię wszystko, by ich powstrzymać, ale proszę o natychmiastową pomoc“.

Luiza wzięła papiera, włożyła go do ładownicy. Dąbrowski uśmiechnął się. Ale Luiza ujrzała poza tym uśmiechem stygmat śmierci na bladej, przezroczystej

¹ Czyt. Kliniankur. ² Czyt. Bofor. ³ Mąruż. ⁴ Wanf. ⁵ Wożirar. ⁶ Lefrançois. ⁷ Czyt. Porsęku.

twarzy. To przecież on dźwigał na sobie cały trud tych tragicznych dni. Czuł dokoła siebie coraz większą samotność, samotność, która szła od opuszczonego fortu i nakrywała miasto mrokiem skradającej się zdrady.

— Nie, nie — Luiza potrząsnęła gwałtownie głową — Komuna zwycięży. Wytrzymała już niejednego cios. Komuna — to nie tylko forty źle bronione — to przede wszystkim tamci, Gaillard¹, budowniczy barykad, to Hermine David, to stara Danguet², to dziesięć tysięcy kobiet walczących na szanicach, to federaci żywiący się zdechłymi kotami i nie opuszczający pozycji.

Szła ulicą Beethovena. Noc nawiewała zapachy z odległych sadów, na tle czarnego nieba drzewa wznosiły się jak zastygłe widma. Któraż to godzina? Ach, wszystko jedno. Prędzej, byle prędzej. Mariani powiedział: rewolucja albo śmierć. Nigdzie człowiek nie uczy się tak odwagi, jak na opuszczonej barykadzie. Ale Paryż żyje. Choć cisza przenika ciało miasta, Luiza czuje jego bijące tętno. Przechodzi obok barykady. Brnie przez kałuże krwi. Gdzież podzieli się federaci? Z rozszerzonymi oczami rozgląda się dokoła. Pod workami leżą nieruchome ciała. Ach, śpią. Podchodzi bliżej, zagląda w ich twarze. I wówczas otwiera usta do krzyku. Nie krzyczy. Cofa się w tył. Zmasakrowani przez wersalczyków. Zgodnie z instrukcją Thiersa. „Żadnych jeńców! Jeśli żołnierze w przystępie słusznego gniewu pragną zemścić się za śmierć swych towarzyszy...“

Uważnie ogląda leżących. Oto marynarz Craon³. Walczyła z nim na Castiglione⁴. Do ostatniej chwili nie wypuścił karabinu z zaciśniętej ręki. A tam młoda Car-

¹ Gejār. ² Dangé. ³ Kraa. ⁴ Kastilią.

telle¹, a tam szesnastoletni Bidon... Krew ściekała uliczką w dół. Pękały kartacze.

W merostwie gwar, gorączka, bezsenność. Oddała kartkę Dąbrowskiego.

— Idę umrzeć — rzucił jej stary Geoffroy², weteran z 48 roku, chodź z nami.

— Dlaczego umrzeć — mówiła przedzierając się przez tłum gwardzistów — dlaczego nie zwyciężyć?

Gdy wyszła na dziedziniec, otoczyli ją federaci z 61 batalionu.

— Byłaś jedną wśród pierwszych — zwrócił się do niej młody Arnoux, towarzysz z brygady — musisz także być pierwszą wśród ostatnich.

Poszła z nimi. Noc coraz głębsza. Huki wstrząsnęły brukiem.

Na rogu ulicy Frossard zatrzymuje ją młody człowiek. Błaga, by wzięli go ze sobą. Nie miał żadnych dokumentów, w merostwie odprawili go z kwitkiem. — Chodź z nami! — Był uszczęśliwiony. — Komuna zwycięży — powtarzała Luiza uśmiechając się do młodzieńca bez papierów, do batalionu, który przeszywał noc krokiem idących na śmierć.

Pozycja na cmentarzu Mont-Martre. Własnymi rękami ustawili mur. Upajająca woń kwiatów zdawała się ożywiać zimny marmur. Kłaskały słowiki i lekki szum muskał wierzchołki drzew. Znowu armaty. Coraz bliżej.

Siwy federat pochylił się ku niej.

— Dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy generała Douaya³ wśliznęło się do miasta. Starał się przekrzyć huk armat. Ale krzyczał także z rozpacz.

¹ Kartell. ² Zofrua. ³ Duaja.

Postanowiła iść na zwiady. Wypęzła zza stosu kamieni, czołgała się na kolanach. Lepka, rozmokła ziemia. Na liściach srebrne krople rosy. Gwizdały kule. Pełzała coraz dalej. Naraz szum, huk i tuż przed nią pocisk uderzył w nagrobek. Przywarła do marmuru. Białe posąg nad nagrobkiem rozprysł się w kawałki.

Gdy wróciła do barykady, było ich tylko piętnastu. Z pięćdziesięciu. Młodzieniec bez papierów leżał na wznak z otwartymi ustami. Strzelali bez przerwy.

Po chwili — dwunastu. Z mroku wyłonił się Dąbrowski. — Do ostatniego naboju! — rzucił i pobiegł dalej. Tak — odpowiedziała Luiza, wyjęła naboje z ładowni zabitych. Dziesięciu. Ośmiu. Czuli w mroku podkradającego się wroga.

Kapitan federatów podpełzł do Luizy.

— Posłuchaj — mówił nie przestając strzelać — mam syna. Osiem lat. Gdy padnę, daj mu moją szablę.

Dlaczego sądzi, że ona wyjdzie stąd cała? — uśmiechnęła się. Już było ich troje. Kapitan i sierżant po obu stronach barykady, ona — w środku.

Nagle — zarysy ludzi podchodzących do szanca. Wlepili wzrok w gęstą ciemność.

— To gwardziści — krzyknęła uradowana wywijając karabinem. — Zbliźcie się, jest nas tylko troje!

Ale tamci strzelali. Wówczas kapitan podbiegł do niej, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

— To wersalczy przybrani za gwardzistów.

Brnęli w ciemności. Przedzierając się przez nagrobki wybiegli na ulicę. Pociski padały miarowo jak uderzenia zegara. Zegara śmierci.

— Koniec — usłyszała przy sobie drżący głos kapitana. — Zwyciężyli.

Plac Pigalle poprzerynany barykadami. Luiza przypadła do pierwszej z brzegu. Pachniało dymem i naftą. Nad workami łopotały podziurawione strzepy sztandaru.

— Koniec? — powtarzała słowa kapitana mierząc w ciemność rozrywaną wybuchami ognia. Spojrzała na sąsiada. Wysunął wargę naprzód i z płonącym wzrokiem ładował raz po raz karabin. Jakaś niezrozumiała radość rozpieszczała jej pierś: — Walczyli. Jeszcze walczyli.

Sąsiad zachwiał się. Chwycił się kurczowo worka z piaskiem i przywarł doń ustami. I nim runął na ziemię, sprężył się w sobie i dogasającym głosem powierzył jej grozę i wielkość ostatniej nocy.

— Do ostatniej barykady Komuna...

— Zwycięży — dokończyła Luiza Michel z surową powagą, wyjmując mu z ręki karabin.

J. — B. CLEMENT *)

KRWAWA NIEDZIELA

Katują, wylapują, więżą,
Nie mieszczą więźniów ściany tiurem.
Ojcom i synom, żonom, mężom
Gotują skon pod wspólnym murem.

Choć wróg szaleje, lecz my przecie
do boju wstaniem jeszcze raz.
Więc pamiętajcie o odwecie —
Znów rozgorzeje walka klas.

*) Uczestnik Komuny. Wiersz ten napisał po jej upadku.

Znów przesiąkł krwią czerwony sztandar.
By ducha ludu zgnieść terrorem;
Monarchistyczna wroga banda
Wypelzła sycząc ze swej nory.
Na zakrwawionych trotuarach,
Gdzie mordowano robociarzy,
Policja w uniformach starych
Chekliwie staje znów na straży.
Dla bezrobotnych ma gotową
Jedynie kulę w ładownicy.
Czyż będą nami rządzić znowu
Policja, kler i urzędnicy?

Choć wróg szaleje, lecz my przecie
Do boju wstaniem jeszcze raz.
Więc pamiętajcie o odwecie —
Znów rozgorzeje walka klas.

Czyż będziesz dźwigać bez odmiany
Niewoli jarzmo, robotniku?!
Czyż długo jeszcze dumne pany
Będą nas deptać na chodniku?
Długoż nam znosić księżą klikę
I w jarzmie nędzny trawić żywot?
Kiedyż ujrzymy ją — prawdziwą
Mas pracujących Republikę?

Choć wróg szaleje, lecz my przecie
Do boju wstaniem jeszcze raz.
Więc pamiętajcie o odwecie —
Znów rozgorzeje walka klas!

Tłum. Artur Sandauer

MASAKRA KOMUNARDÓW

Zwały trupów piętrzyły się tam powalone w nieladzie: ramiona zwisały, nogi były rozkraczone. Zdjęto im buty; widać było ich grube skarpetki w paski albo gołe, brudne stopy. Wychudłe psy obwachiwały je z zaciekawieniem. Dokoła bzykały muchy. Na wszystko to patrzyłem nic nie rozumiejąc, a rozbite fasady domów zdawały się wystraszone widokiem naszego pochodu. Na jednym z placów, pod długim murem oklejonym afiszami, ocienionym kwitnącymi kasztanami, pluton egzekucyjny przygotowywał się do rozstrzelania trzech ludzi. Okrzyk i detonacja przebiły powietrze. Trzej skazańcy, z osmalonymi obliczami, padli. Dwaj oficerowie przyglądali się paląc papierosy. Obejrzel się za nami. Ja również spojrzałem na nich, a potem pchnięto mnie w plecy. Dalej były znów domy, Sekwana, łowiący ryby wędkarz na brzegu. Panował wielki upał. Niebo było omdlewająco lepkie.

Znowu wrzucono nas do piwnicy. Tu usłyszałem od innego więźnia o masowych rozstrzeliwaniach, o masakrze w koszarach Lobau, w Luksemburgu, u świętego Jakuba. Nazajutrz udaliśmy się w drogę do Wersalu. Tworzyliśmy łańcuch bez końca. Były tam i kobiety, stękały one jak wyczerpane zwierzęta. Powiązano je ze sobą ramionami; te, które miały długie suknie, nie były w stanie ich podnieść i nogi plątały im się w trenach. Gdy się mijalo jakiś sklep norymberski, błagały stojącą na progu kupcową, aby rzuciła im parę pończoch na zmianę, bo obuwie ich i pończochy były zdarte i szły boso. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia cmentarza pomyślałem o Marii-Róży. Wydało mi się, że się zbudziłem z długotrwałego otępienia: było to okrutne.

— Powyrywajcie im paznokcie! — zawołała na nasz widok jakaś loretka potrząsając parasolką.

Zdawało mi się, że czuję, jak paznokcie odrywają się od palców, a rana na moim ramieniu poczyną znów krwawić. Było to ładne dziewczę ta loretka; miała na sobie łeciuchną sukienkę, a parasolka jej przemknęła przed moim wzrokiem jak ruch jasnego skrzydła. U stóp jej leżał wielki martwy koń. Odwróciłem spojrzenie. Przechodziliśmy obok popalonych, ziejących pustymi otworami domów i trzeba było okrążyć napotykaną szczątki naszych barykad. Przy każdym wstrząsie sznury przecierały mi skórę napiętków. Potykaliśmy się. „A to ci mordy!“ — zawołał jakiś ulicznik. — Trzeba przyznać, że przedstawialiśmy okropny widok, szczególnie kobiety, potargane, czarne, cuchnące, o zezowatym spojrzeniu, z pianą na ustach. Przypomniałem sobie opowieści o polskich patriotach i o rewolucjonistach rosyjskich zsyłanych przez cara na Sybir, których długi sznur idzie przez śnieg śpiewając hymny. Zimno im, ale zimno jest czyste, zimno oczyszcza. Mogą bez mdłości spoglądać na idącą obok, wzniosłą towarzyszkę o płonących oczach i o włosach czarnych pod barwną chusteczką. Są szczęśliwi, śpiewają! Mnie nie towarzyszyła przyjaciółka, potykałem się, nikt spośród nas nie śpiewał. Nawet nienawisć, którą budziliśmy w prowadzących nas żołnierzach, zdawała się przyprawiać ich o mdłości.

Doszliśmy do Muette. Tu oczekiwał nas wspaniały generał na czarnym rumaku. Był on nieco tęgi, twarz miał czerwoną, białe, ścięte na jeża włosy, czarne wąsy skrecone w dwa kółka, które przypominały szamerunek na jego mundurze. Pozwolił sobie w stosunku do nas na wszelkie drwiny, o których wspominała później historia,

wywoływał z szeregu i kazał rozstrzeliwać na miejscu więźniów o siwych włosach, ponieważ bili się prawdopodobnie w 48 i wobec tego byli recydywistami. Rzucano ich do rowu. Widziałem, jak wyginają się plecy żołnierzy plutonu i jak nieszczęśni więźniowie padają wśród dymu zasłaniając rękami oczy, ruchem instynktownym ludzi ginących od kuli, ruchem, który widziałem u Marii-Róży, o Boże, tam, sam nie wiem już kiedy... A wówczas piękny generał kłaniał się z galanterią płaczącym kobietom:

— O, pani, bywałem często w teatrze; przyznaję, że nie brak pani uzdolnienia do melodramatu, ale pani sposób odgrywania komedii nie robi na mnie wrażenia.

Następnie sam przybierał ton teatralny i z diabelskim szyderstwem rozpoczynał tyradę:

— Hej! ludzie z Mont-Martre'u!...

Za nim, na skraju drogi, na progach domów, uchodźcy, bywalcy bulwarów, kobiety z towarzystwa, handlowcy — oczekiwali z dreszczem na koniec pochodu. Gdy cały Paryż wyda swych więźniów aż do ostatniego i pozostaną już jedynie trupy o wyciekających mózgach, wówczas dopiero w ślad za krwawym generałem, markizem de Galliffet, sławą francuskiej armii — francuska burżuazja będzie mogła powrócić do Paryża.

VICTOR HUGO

NA BARYKADZIE

Na krwawej barykadzie, groźnej i olbrzymiej,
Schwytny z mężczyznami, co walczyli na niej,
Dwunastoletni berbeć przed żołdactwem stanie.

— Więc i ty byłeś tutaj? — Tak, ja byłem z nimi!

— W takim razie za chwilę ciebie rozstrzelamy!
Czekaj więc swej kolejki... — Szereg łuf się wznosi,
Błysnął ogień. Pod murem od kul oblupanym
Polegli towarzysze z barykad najdrożsi.

— Niechże pan mi pozwoli — prosi on dowódcę —
Pójść na chwilę do domu, do mojej mamusi,

Ja chcę się z nią pożegnać, ja za chwilę wrócę...

— Ola-la! Któż cię wówczas do powrotu zmusi?

— Chcesz dać drapakę! — Wrócę, panie kapitanie.

— A powiedz mi, gdzie mieszkasz? — Ot tam przy fontannie.

— Cóż, dobrze, idź!... — Ech, bracie, pana kapitana
Nabrał chłopak, choć berbeć, ale sztuka szczwana!

Rechotali siepacze, a ich śmiech rubaszny
Mieszał się nieustannie z rżeniem ponurem
Tych, co w agonii mękach strasznych
Konali pod skrwawionym murem.

I nagle żarty się urwały,
I ze zdziwieniem oddział cały
Ujrzał, jak chłopiec do nich wraca.
Pod murem stanął z miną hardą
I do żołdactwa rzekł z pogardą:
— Wróciłem, więc strzelajcie!...

przekład Włodzimierza Słobodnika

KOMUNA PARYSKA

P o e m a t

Elle ne se rend pas la Commune de Paris.

Słuchając, usta zatnij,
czoła nie zniżaj.
Oto opowieść o dniach ostatnich
Komuny miasta Paryża.

I

Bębny, bębny nocą warczały,
nim świt zaświecił blady,
padły w mieście pierwsze wystrzały,
stały barykady.

Bramy zdobyto, wzięto forty,
śmierć bliska.
Z każdej ulicy, jak z aorty,
upływa krew paryska.

Ale Komuna się nie podda,
Komuna śmiercią gardzi!
Paryżu gniewny, okrzyk podaj:
„Do broni, komunardzi!

Do broni, ludu roboczy!
Dzieci! Kobiety! Starcy!
Krew ulicami broczy,
krwi jeszcze dziś wystarczy!

¹ Komuna Paryska się nie podda.

Nim chmary żoldactwa runą,
Nim przejdą po naszym ciele,
na barykady, Komuno,
do broni, obywatele!”

II

Czerwonych z przedmieść wyparto
i oto, świecąc stałą,
w ciasne ulice Montmartre'u
wkraczają pulki z Wersalu.

I tam, gdzie w marcu stracono
generałów Thomasa z Lecomte'm
oficer z szablą wzniesioną
nabiegł, wołając przed frontem:

„Żołnierze! Trzeba wytępić
to bydło! Nie bierzcie jeńców!”
Żołnierze posłuszni i tępi
stawiają pod mur po dziesięciu.

Trzaskają salwy za murem,
ziemia od krwi się lepi.
Twarze żołnierzy ponure,
na oczy zsunięte kepi.

III

Na cmentarzu Père Lachaise kwitną kasztany,
majem pachnie stratowana trawa,
w trawie leżą trupy rozstrzelanych
„w imię pracy, porządku i prawa”.

Generale Galliffet, wydaj rozkazy,
niech żołnierzom od luf płoną ręce!
Po czterdziestu! Po dwustu od razu!
Pięć tysięcy! I dziesięć tysięcy!

Generale Galliffet, za egzekucje
wdzięczność Francji cię czeka i order!
Generale Galliffet, krew masz na bucie!
Generale Galliffet, cuchniesz mordem!

Na cmentarzu Père Lachaise wieczór już zapadł,
mur bieleje w pomroce wieczoru.
Nie, to nie jest woń traw — to krwi zapach!
To nie cmentarz — to twierdza upiórów!

IV

Noc, rozświetlona luną,
złowroga, ciężka.
Chmurami ponad Komuną
zawisła klęska.

Zostało już niewiele
Barykad i nadziei.
„Na śmierć, obywatele,
pójdziemy po kolei.“

Dąbrowski legł od kuli,
padł Raoul Rigault pod ścianą,
na skrzyżowaniach ulic
po stu rozstrzeliwano.

Kanalia lud zwycięża,
kanalia krwią się karmi,
generałowie, księża,
bankierzy i żandarmi!

Po zemstę nad Paryżem
już ciągnie zgraja katów
z bagnietem, złotem, krzyżem
przez pierś proletariatu.

Lecz Paryż umie zginać,
Komuna się nie podda!
Wolności! tobie płynąć,
czerwona twoja woda...

V

„Obywatelu Delescluze, schrońcie się na dół!
Barykada paść musi, tam pewna śmierć!“
Stanął, wsparty na lasce, ponad barykadą
starzec o siwych włosach, z wstęgą czerwoną przez pierś.

Plac Château d'Eau zdobyty. Na prawym brzegu
gromadzą się niedobitki, lewy padł.
„Obywatele, naprzód!“ Lecz nikt nie idzie w szeregu.
Starzec jest sam. Nad czołem włos siwy rozwiewa wiatr.

Zwolna, wsparty na lasce, poszedł ku barykadzie,
na której stu komunardów pokonał wróg,
sam, jak kapitan okrętu na opuszczonym pokładzie,
delegowany Komuny padł na skrwawiony bruk.

Za rogiem zgiełk i wystrzały. Ciągnie wersalska banda.
Droga już wolna. Na placu tylko ten trup
bezwładny, jak z drzewca zdarty i porzucony sztandar,
a pod nim sztandar bruku, a wkoło Paryż — grób.

VI

Pożary, pożary, pożary
i w dymie pożarów wystrzały.
Konając, nie podda się Paryż
skrwawiony, straszliwy, wspaniały!

A skoro musi umierać,
Gdy nie ma ratunku znikąd,
za śmierć Delescluze'a, Millière'a
postawi pod mur zakładników:

bankiera, arcybiskupa,
jezuitów, żandarmów, szpiegów...
Nierówny rachunek w trupach:
czterdziestu ośmiu w szeregu.

VII

Obrona słabnie,
nadchodzi śmierć;
żołdacki bagnet
w roboczą pierś.

Kamienie mokre
od ludzkiej krwi.
Dwudziesty okrąg
najdłużej grzmi.

Ostatni wystrzał
nieprędko jeszcze!
Pociski świszczą
złowieszczym deszczem.

Nabij! Pal!
Bagnetem kłuj!
W trzasku salw
do końca stój!

VIII

Walcz, barykado!
Giń, barykado!
Unoś się, gniewna
pieśni paryska!
Czerwonoskrzydłą
ptaków gromadą
ponad trupami
leć na pociskach!

Walcz, barykado!
Giń, nieugięta!
Będzie zwycięstwo,
będzie zapłata.
Ludu roboczy,
patrz i pamiętaj!
Proletariusze
Francji i świata!

Giń, barykado!
Sztandar wznies wyżej!
Wolna do końca,
padnij i skonaj,
groźna, ostatnia
w martwym Paryżu,
niezwyciężona,
niezwyciężona!

IX

Rozstrzelano trzydzieści tysięcy,
sto tysięcy zakuto w łańcuchy.
Krwi ani sił już nie ma więcej
Paryż zmartwiał i głuchy.

Odezwa na rogu ulicy:
„Paryżanie, dzisiaj powraca
do wyzwolonej stolicy
prawo, porządek i praca...”

Bruk do barykad wyrwany
zęby kamienne szczerzy,
trzaskają salwy, brzęczą kajdany,
maszerują oddziały żołnierzy.

Burżuazjo, wracaj z Wersalu,
podziękuj swojemu bogu!...
Jeszcze ostatnie pożary się palą,
na ulicach nie ma nikogo.

ARTHUR ARNOULD

MĘCZENNICZY KOMUNY

(fragment)

Zdjąć czapki! Będę mówił o męczennikach Komuny. Iluż ich było? Nikt nie jest w stanie zliczyć. Krew płynęła strumieniami. Lecz cóż to byli za ludzie, których burżuazja, jak dzikus-ludożerca w pijackim szale, mordowała z takim okrucieństwem? Kilka nazwisk wypływa na powierzchnię owych krwawych potoków. Przyjrzyjmy się tym ludziom, gdyż na ich przykładzie będziemy mogli wydać sąd o pozostałych, o owej wielkiej bezimiennej masie, która na zapytanie historii odpowie: „Na imię mi — lud!” Zajmijmy się przede wszystkim Delescluze’em, starcem o siwej głowie: szczupły, o energicznych rysach twarzy i dumnym wejrzeniu, wzór uczciwości i bezinteresowności, jakobin jak gdyby odlany według modelu spizowanych ludzi Konwentu, był on ostatnim i pięknym przedstawicielem naszych dni. Całe jego życie było nieustanną walką o to, co uważał za prawo, sprawiedliwość i prawdę. Ani porażki, ani prześladowania — za czasów cesarstwa został zesłany do Kajenny, gdzie musiał znosić męki fizyczne i moralne — ani wiek, nic nie potrafiło osłabić jego wiary i bezgranicznej wierności. Aby lepiej służyć rewolucji, wyrzekł się życia rodzinnego. Nigdy nie poddawał się zwątpieniom, nie wiedział też, co to wyczerpanie i zmęczenie. Nieskazitelnym było jego życie, tak jak i śmierć. Został z początku posłem Zgromadzenia Narodowego, potem zaś wybrano go do Komuny i bez wahania zgłosił się tam, dokąd wzywał go lud.

W tym żelaznym człowieku nie było nic z doktrynera. Z tego też powodu, aczkolwiek z początku nie zgadzał się ze wszystkimi dążeniami bojowników Komuny i choć nie-które z tych dążeń były sprzeczne z jego wiarą polityczną, to jednak — bądźmy sprawiedliwi — jasno zrozumiał program Komuny, zgadzał się z nim i przyjął wszystkie jego wnioski wraz ze wszystkimi ich skutkami. Sympatie jego nie skłaniały go ku Komunie, lecz tam był lud, tam była wola ludu. I Delescluze z niezachwianym stoicyzmem uchylił przed nią czoła.

Obok Delescluze'a widzimy równie wielkiego, aczkol-wiek zupełnie odmiennego syna ludu—Varlina. Urodził się w biednej rodzinie chłopskiej. W trzynastym czy też czternastym roku życia przybył do Paryża, gdzie został uczniem pewnego introligatora. Nie umiał jeszcze wów-czas ani czytać, ani pisać. Lecz pełen energii zaczyna kształcić się sam urywając nieco czasu skąpych godzinom odpoczynku, jakie mu pozostawały po pracy w warsztacie.

Varlin to uosobienie rewolucji nowej epoki. Oddany był całkowicie walczącemu socjalizmowi i wśród jego przedstawicieli na zawsze pozostanie jako jedna z naj-światlejszych, najszlachetniejszych i najbardziej wzru-szających postaci. Rozpoczął swoją pracę rewolucyjną jako czołowy działacz związku pracowników introligator-skich, potem był założycielem pierwszych stołówek socja-listycznych w Paryżu i został wreszcie jednym z pierw-szych członków i najbardziej nieustrudzonych agitatorów i propagatorów Międzynarodówki we Francji. Dotychczas jeszcze pamiętne jest jego dumne i śmiałe zachowanie się przed trybunałem imperium, kiedy to Napoleon III prze-konawszy się, że nie uda mu się omamić Międzynarodów-ki, postanowił wszcząć z nią walkę, by ją zniszczyć. Po

raz pierwszy zetknąłem się z Varlinem w redakcji „Mar-sylianki“. Nigdy w życiu nie zapomnę owej młodej, pięk-nej głowy okrytej już siwymi włosami, owego głębokiego spojrzenia czarnych oczu, tego głosu pełnego serdeczności i spokoju oraz owego nacechowanego godnością sposobu bycia. Zespoiliła się w nim wielkoduszność bohatera z me-lancholią myśliciela. W Komunie mało mówił, lecz wiele czynił. Z początku zarządzał sprawami finansowymi, po-tem przeniósł się do intendenty, gdzie miał możliwość w pełni wykorzystać swoje zdolności organizatorskie. Gdy do Paryża weszli wersalczy, walczył po bohatersku i zo-stał ujęty przez pogromców Komuny. Z zawiązanymi do tyłu rękoma, uwalanego błotem i krwią, oplutego oprowa-dzano go ponad dwie godziny po ulicach Montmartre'u, by przedłużyć mu agonię. Wreszcie męki jego przerwała kula. Był tak wielki w swojej nieustraszonosci, że nawet wrogowie jego i kaci nie mogli odmówić mu uznania.

Obaj oni, Delescluze i Varlin, zasługują na miano dwóch biegunów Komuny Paryskiej. Delescluze to miesz-czański jakobin, który zapomniawszy o swoim pochodze-niu, wychowaniu i swoich przesądach kastowych łączy się z ludem, by wraz z nim walczyć o społeczną wolność. Var-lin to sam młody lud, podnoszący do góry głowę, opano-wujący naukę, utożsamiający się w porywie bohaterstwa z Rewolucją Socjalną, której jest krwią i ciałem. Pierw-szy z nich mówi Komunie: „Jesteś sprawiedliwością“. Drugi zaś obwieszcza zdumionemu światu: „Lud jest gotów“.

FAJKA KOMUNARDA

Dużo jest na świecie pięknych miast, lecz najpiękniejszy ze wszystkich jest Paryż, w którym śmieją się bez troskie kobiety, gdzie pod kasztanami wytworni panowie piją rubinowe nalewki, gdzie błyszczy tysiące ogni w lustrzanych taflach olbrzymich placów.

Kamieniarz Ludwik Rou urodził się w Paryżu. Pamiętał on doskonale „lipcowe dni“ 1848 roku. Miał wtedy siedem lat i chciało mu się jeść. Jak mały kruk otwierał usta i czekał, czekał na próżno, ojciec bowiem, Jan Rou, nie miał chleba. Miał tylko strzelbę, a przecież strzelby zjeść nie można. Ludwik pamiętał długo letni ranek, kiedy ojciec czyścił swą strzelbę, a matka płakała wycierając nos fartuchem. Ludwiczek pobiegł za ojcem, zdawało mu się, że ojciec z wyczyszczonej strzelby zastrzeli jakiegoś piekarza i weźmie sobie największy bochenek, większy od Ludwiczka, taki wielki jak dom. Ale ojciec nie zabił piekarza, spotkał się tylko z innymi ludźmi, którzy mieli także strzelby i byli smutni, i śpiewali razem, i wołali „chleba“. Ludwik myślał, marzył, że w odpowiedzi na te pieśni cudowne posypią się z okien bułki, rogaliki i ciastka. Nie, zamiast bułek — rozległ się jakiś trzask i posypały się małe kulki. Jeden z tych, którzy wołali „chleba“, zawołał: „ratunku, boli!“ i upadł. Wtedy ojciec i inni z nim razem zaczęli robić jakieś dziwne, niepojęte rzeczy, przewrócili dwie ławki, przyciągnęli z jakiegoś podwórza beczkę polamali stół i kurnik. To wszystko położyli pośrodku ulicy, a sami upadli na ziemię. Ludwikowi zdawało się, że smutni ludzie bawią się w chowanego. Potem ludzie ci zaczęli

strzelać i ktoś strzelał do nich. Wreszcie przyszli inni. Mieli także strzelby, ale uśmiechali się wesoło, na czapkach mieli ogromne, piękne kokardy — mówiono o nich „gwardia“. Ludzie ci wzięli ojca i prowadzili go przez bulwary. Ludwik myślał, że wesoła gwardia nakarmi ojca i poszedł razem, choć było już późno. Na bulwarach uśmiechały się kobiety, pod kasztanami wytworni panowie pili rubinowe nalewki, a tysiące ogni grało w lustrzanych szybach trotuarów. W pewnej chwili jedna z beztroskich kobiet, siedząca w kawiarni, zaczęła krzyczeć.

— Po co prowadzić go tak daleko? Może przecież i tutaj dostać swą porcję...

Ludwik podbiegł do uśmiechniętej kobiety i w milczeniu, jak mały kruk, otworzył usta. Jeden spośród gwardii wziął strzelbę w ręce i znowu strzelił. Ojciec coś krzyknął i upadł, kobieta uśmiechała się dalej. Ludwik podbiegł do ojca, chwycił się jego nóg, które jeszcze drgały, i zaczął wyć przeraźliwie. Wtedy kobieta powiedziała:

— Zabijcie i szczeniaka.

Ale kawaler, który przy sąsiednim stoliku pił rubinową nalewkę, zaprotestował:

— Któż będzie na jego miejscu pracował?

Ludwika nie zabili. Po lipcu przyszedł cichy sierpień i nikt już nie strzelał ani nie śpiewał na ulicach. Ludwik wyrósł i w zupełności usprawiedliwiał zaufanie „dzielnego“ kawalera. Ojciec jego, Jan, był kamieniarzem, kamieniarzem został i Ludwik. Ubrany w szerokie aksamitne spodnie, w niebieską płócienną bluzę, Ludwik budował domy latem i zimą. Przepiękny Paryż chciał być jeszcze piękniejszy i Ludwik był wszędzie tam, gdzie budowano nowe ulice, gdzie powstał plac siedmioramiennej Gwiazdy, szerokie bulwary Haussmanna i Malherbe'a,

gdzie już kupcy z dalekich stron rozbijali swe namioty z futrami, koronkami i drogocennymi kamieniami. Ludwik budował teatry i sklepy, kawiarnie i banki. Budował przepiękne domy, aby beztroskie kobiety mogły beztrosko uśmiechać się, kiedy na ulicach wieje ostry wiatr od morza, a w roboczych mansardach kostnieje ciało od mgieł listopadowych, budował bary, by wykwinłi kawalerowie mieli gdzie pić w ciemne noce swe rubinowe nalewki. Podnosząc na swych barkach ciężkie kamienie Ludwik budował nowe ramy dla Paryża, najpiękniejszego ze wszystkich miast świata. Budował cudne domy całymi dniami, a w nocy leżał w śmierdzącej komórcie przy ulicy Czarnej Wdowy na przedmieściu Świętego Antoniego. Komórka pachniała wapnem, potem, czarnym tanim tytoniem; dom cały pachniał kocimi wydzielinami i niepraną bielizną, a od ulicy Czarnej Wdowy, jak od wszystkich ulic przedmieścia Świętego Antoniego, szedł zapach smażonych ziemniaków, jatek mięsnych, koniny, śledzi, kanałów. Ale to nic. Przecież nie za ulicę Czarnej Wdowy nazywają Paryż najcudniejszym ze wszystkich miast na świecie, lecz za bulwary szerokie, pełne zapachu konwalii, mandarynek i najwspanialszych perfum, za te bulwary i za gwiazdę siedmioramienną, budowaną przez Ludwika i jego towarzyszy.

Budował Ludwik kawiarnie i bary, nosił kamienie dla „Kawiarni Królestwa“, odwiedzanej przez szachistów, dla „Kawiarni Angielskiej“, w której spotykały się różne snoby, właściciele koni wyścigowych i znakomici goście zagraniczni, dla „Tawerny Madryt“, gromadzącej aktorów przeszło dwudziestu teatrów, i dla wielu, wielu do stojnych instytucji. Ale nigdy, od dnia śmierci ojca, Ludwik nie zbliżał się do gotowych już, zbudowanych ka-

wiarń, nigdy nie spróbował rubinowych nalewek. Kiedy majster wypłacał mu parę drobnych białych monet, Ludwik wręczał je staremu szynkarzowi przy ulicy Czarnej Wdowy za kilka szklanek mętnego płynu. Wypijał duszkiem swój absynt i szedł spać do swej strasznej komórki.

Gdy nie było białych monet ani absyntu, ani chleba, ani pracy, wyszukawszy w kieszeni resztki tytoniu nabił nim swą glinianą fajkę i ponury chodził z nią po przedmieściu Świętego Antoniego. Nie śpiewał i nie krzyczał „chleba“, jak to kiedyś robił ojciec, gdyż nie miał strzelby ani syna, otwierającego dziób jak mały kruk.

Robił wszystko, co mógł, by kobiety paryskie mogły śmiać się spokojnie, ale słysząc śmiech ich, z przerażeniem odsuwał się — przecież tak śmiała się kiedyś kobieta w kawiarni na bulwarze, kiedy Jan Rou leżał na bruku. Do dwudziestego roku życia Ludwik nie miał obok siebie żadnej kobiety. Dopiero gdy skończył dwadzieścia pięć lat i przeniósł się z jednej komórki na ulicy Czarnej Wdowy do drugiej, spotkało go to, co prędzej lub później spotyka każdego człowieka. W komórcie sąsiedniej mieszkała młoda wyrobnica Julka. Spotkał ją wieczorem na wąskich, kuchennych schodach, wstąpił do niej po zapalki, gdyż hubka mu zamokła — i wyszedł dopiero nad ranem. Dnia następnego Julka przeniosła do mansardy Ludwika dwie swoje koszule, szklankę i szczotkę i została jego żoną, a w rok później w ciasnej komórcie pojawił się nowy gość, którego mer zapisał jako Pawła Marię Rou. W ten sposób poznał Ludwik kobietę; tylko w odróżnieniu od wielu innych, którymi słusznie szczyci się cudowny Paryż, Julka nigdy nie śmiała się swobodnie, choć Ludwik kochał ją mocno, jak kochać może kamieniarz, podnoszący ciężkie kamienie i budujący olbrzymie budowle. Nie śmiała

się zapewne i dlatego, że mieszkała na ulicy Czarnej Wdowy, gdzie tylko raz jeden rozległ się swobodny śmiech, starej praczki Marii, gdy wieziono ją do szpitala wariatów. A może nie śmiała się także i dlatego, że miała tylko dwie koszule i Ludwika, który często nie miał grosza przy duszy i ponuro snuł się z fajką w ustach po ulicach przedmieścia i nie mógł jej sprawić żadnej ładnej sukni.

Ale wiosną 1869 roku — Ludwik miał wtedy lat 28, a syn jego Paweł dwa — Julka zabrała swoje dwie koszule, szklankę i szczotkę i przeniosła się do mieszkania rzeźnika, który na ulicy Czarnej Wdowy handlował mięsem końskim. Zostawiła mężowi Pawelka, gdyż rzeźnik był człowiekiem uczonym i nienawidził dzieci.

Ludwik wziął Pawelka na ręce, pohańczał go, by maleństwo nie płakało, pohańczał niedołężnie, gdyż umiał obchodzić się z kamieniami, a nie z dziećmi, i z fajką w ustach poszedł na ulice przedmieścia.

Kochał Julkę mocno, rozumiał, że postąpiła słusznie, rzeźnik ma dużo pieniędzy, może się nawet przeprowadzić na inną ulicę, Julka zacznie się teraz śmiać swobodnie. Przypomniawszy sobie, że ojciec, odchodząc w lipcowy ranek z wyczyszczoną strzelbą, powiedział do swej żony, matki Ludwika:

— Trzeba mi iść, ale ty powinnaś mnie zatrzymywać. Kogut szuka w kurniku najniebezpieczniejszego miejsca, okręt — otwartego morza, kobiety — spokojnego życia.

Wspominając ojcowskie słowa Ludwik pomyślał sobie, że miał rację zatrzymując Julię, że jednak i ona miała rację odchodząc do bogatego rzeźnika.

Znowu budował domy i niańczył syna. Ale wkrótce przyszła wojna i źli Prusacy zaczęli oblegać Paryż. Nikt

już nie myślał o budowaniu nowych domów, nikt nie chciał kończyć budowli zaczętych. Pociski pruskich armat niszczyły cudowne budowle Paryża, nad którymi pracowali Ludwik Rou i inni kamieniarze. Ludwik nie miał pracy, nie miał chleba, trzyletni Paweł już nauczył się otwierać usta jak mały kruk, Ludwikowi dali strzelbę. Wziąwszy ją w ręce, nie śpiewał i nie krzyczał „chleba“, lecz jak tysiące kamieniarzy, cieśli i kowali bronił cudownego Paryża przed złymi Prusakami. Maleńkiego Pawelka przytuliła dobra, pocziwa pani Mono, właścicielka sklepiku z warzywem. Ludwik Rou, razem z dwoma innymi kamieniarzami, stał boso w okropny mróz na forcie Świętego Wincentego obsługując armatę, która zabijała Prusaków. Od dawna już nie prawie nie jadł, gdyż w Paryżu panował głód. Odmroził sobie nogi, było nieprawdopodobnie zimno. Pociski pruskie padały gęsto, obrońców fortu, roboczarzy, coraz ubywało, tylko Ludwik nie porzucił posterunku broniąc swego Paryża. Bronił go w chłodzie i głodzie, a tymczasem tysiące świateł błyszczały nocami na bulwarach, wytwornisie pili dalej rubinowe nalewki, a panie rozkosznie się uśmiechały,

Ludwik wiedział, że nie ma już cesarza i że w Paryżu teraz republika. Pracując przy armacie, nie miał czasu na pomyślenie, czym jest właściwie republika, ale towarzysze przychodzący z miasta opowiadali, że kawiarnie jak i dawniej roją się od leniuchów i zalotnych kobiet.

Pewnego ranka kazano Ludwikowi porzucić armatę i wrócić na ulicę Czarnej Wdowy. Ludzie, których nazywano „republikanami“ i którzy z pewnością składali się z nierobów i z zalotnych kobiet, wpuścili złych Prusaków do cudnego Paryża. Ludwik z fajką w ustach chodził ponuro po przedmieściach.

Prusacy przyszli i poszli, ale nikt nie budował domów. Mały Paweł dalej otwierał usta, Ludwik zaczął czyścić swą strzelbę. Wtedy ogłoszono surowy rozkaz, by ci w niebieskich bluzach oddali broń; panowie pamiętali przecież jeszcze lipiec 1848 roku.

Ludwik i towarzysze jego z przedmieścia Świętego Antoniego i z wielu innych przedmieść nie chcieli oddać swej broni. Wyszli na ulicę i zaczęli strzelać. Był ciepły wieczór, zaczynała się dopiero wiosna paryska.

Następnego dnia Ludwik przyglądał się, jak szykowne karety, wygodne ekwipaże, furgony i fury wiozły dobytek i ludzi, których widział tylko w kawiarniach wielkich bulwarów albo w Lasku Bulońskim. Byli tam i mali, krępi generałowie w czapeczkach malinowych, z groźnie podkręconym wąsem, były młode damy w szerokich spódnicach, przybranych koronkami, byli otyli biskupi w fioletach, starzy lowelasi w czarnych, piaskowych i rudawych cylindrach, młodzi oficerowie, z których żaden nie był na forcie Świętego Wincentego ani na żadnych fortach w ogóle, dostojni, łysi lokaje, były pieski z kokardami na ufryzowanej, jedwabistej sierści, były nawet krzykliwe papugi. Wszyscy śpieszyli do rogatek wersalskich. Kiedy Ludwik poszedł wieczorem na plac Opery, zobaczył opuszczone kawiarnie, w których już nikt nie pił rubinowych nalewek, i zabite deskami okna magazynów. Wytworni mieszkańcy wytwornych dzielnic, oburzeni na robociarzy w niebieskich bluzach za to, że nie chcieli oddać broni, porzucili przecudny Paryż.

Ludwik stwierdził, że „republika“ odjechała w karetach i na wozach. Zapytał towarzyszy, kto został na jej miejsce. Odpowiedzieli „Komuna Paryska“. Ludwik

uświadomił sobie, że ta Komuna Paryska mieszkać musi gdzieś niedaleko ulicy Czarnej Wdowy.

Ale kawalerowie i kobiety nie chcieli zapomnieć o najpiękniejszym z miast, które trzeba było porzucić. Za żadną cenę nie chcieli oddać go kamieniarzom, cieślom i kowalom.

I znowu pociski armatnie zaczęły spadać na domy, tylko teraz nie rzucali ich źli Prusacy, a dobrzy, poczciwi bywalcy kawiarni „Angielskiej“ i innych. Ludwik czuł, że trzeba mu wrócić na dawne miejsce na forcie Świętego Wincentego. Ale właścicielka sklepu, poczciwa pani Monno, była nie tylko dobrą kobietą, ale i dobrą katoliczką. Oświadczyła, że nie może trzymać w domu syna jednego z tych bezbożników, którzy zabili biskupa Paryża. Wtedy Ludwik wziął fajkę w usta, syna swego na ręce i poszedł na fort Świętego Wincentego. Pracował znowu przy swej armacie, mały Pawełek zaś bawił się obok pustymi nabojami. Nocą mały spał w domku stróża, we forcie. Stróż darował Pawełkowi nowiuteńką fajkę glinianą, taką samą, jaką palił Ludwik, i kawałek mydła. Paweł, którego znudziło już słuchanie wystrzałów i oglądanie wypluwającej pociski armaty, puszczał sobie teraz bańki z mydła. Były one różnokolorowe: niebieskie, różowe, liliowe. Były podobne do balonów, które eleganckim chłopaczkom kupowali w ogrodach śródmieścia wytworni panowie i panie. Prawda, że bańki Pawełka żyły tylko przez chwilę, a baloniki dzieci z Pól Elizejskich trzymały się na mocnych sznurkach przez cały dzień, ale i jedne, i drugie były cudowne, i jedne, i drugie prędko umierały. Wypuszczając z glinianej fajki swe bańki, Pawełek zapominał o otwieraniu ust i czekaniu na kawałek chleba. Zbliżając się do ludzi, których wszyscy nazywali „komunardami“ i wśród

których był Ludwik Rou, Pawelek, naśladować ojca, z dumą ścisnął zębami swą pustą fajeczkę. Ludzie zajęci przy armatach mówili do niego z miłym, serdecznym akcentem w głosie:

— Tyś prawdziwy komunard.

Mieli jednak biedacy mało armat i w ogóle mało ich było. A ludzie, którzy porzucili Paryż i żyli teraz w rezydencji królów, w Wersalu, codziennie wysyłali nowych żołnierzy, synów ubogich i ciemnych wieśniaków francuskich, i nowe armaty, darowane przez złych Prusaków. Żołnierze ci i armaty coraz bardziej zbliżali się do fortów Paryża. Wielu obrońców Komuny zostało zabitych, na ich miejsce nie przychodzili inni. Ludwik Rou sam pracował przy swym dziale, sam brał pociski, ładował je, strzelał.

W dawnej rezydencji królów francuskich panowała radość i wesele. Otwarte na poczekaniu prymitywne, drewniane kawiarnie nie mogły pomieścić wszystkich amatorów rubinowych nalewek. Biskupi w fioletowych sutanach odprawiali uroczyste nabożeństwa. Generałowie, podkręcając ostro wąsa, konferowali z oficerami pruskiemi, których było pełno. Łysi jak kolano lokaje już pakowali pańskie kufry, gotując się do powrotu do najcudowniejszego na świecie miasta. Olbrzymi park, zbudowany rękoma dwunastu tysięcy robotników, dniami i nocami pracujących w pośpiechu, by nie opóźnić terminu naznaczonego przez Króla-Słońce, ubierano chorągwiami dla uczczenia zwycięstwa.

Porucznik armii narodowej, Franciszek d'Emonian, przywiózł swej narzeczonej, Gabrieli de Bonivet, bukiet delikatnych lilii, który miał być dowodem szlachetności i niewinności jego uczuć. Gabriela wstawiła bukiet do złotego wazonu, ozdobionego szafirami; wazon kupiony

został w Wersalu u jubilera paryskiego, który w pierwszy dzień „buntu“ przeniósł się tam z całym dobytkiem. Bukiet został ofiarowany również dla uczczenia zwycięstwa. Franciszek d'Emonian przyjechał na jeden dzień z frontu paryskiego. Opowiadał narzeczonej, że powstańcy są rozbici i że jutro jego żołnierze wezmą fort Świętego Wincentego.

— A kiedy rozpocznie się sezon w operze? — zapytała Gabriela.

Po tym pytaniu utonęli w szczebiocie miłosnym, jak przystało bohaterowi wracającemu z frontu i jego lubej, która wyszywa dla niego atlasową torebkę na tabakę. W momencie najwyższej czułości, otaczając bohaterską ręką kibić Gabrieli, Franciszek powiedział:

— Droga moja, nie masz pojęcia, do czego dochodzi okrucieństwo tych komunardów. Widziałem przez lornetę, jak na forcie Świętego Wincentego mały chłopak strzelał z armaty. W dodatku wyobraź sobie, że ten mały Neron palił fajkę.

— Ale wy zabijecie ich wszystkich, razem z dziećmi! — wyszeptała błagalnie Gabriela i pierś jej jeszcze mocniej falować zaczęła pod ręką bohatera.

Franciszek d'Emonian wiedział dobrze, co mówi. Następnego ranka żołnierze jego pułku otrzymali rozkaz zajęcia fortu Świętego Wincentego. Ludwik Rou wraz z dwoma towarzyszami w niebieskich bluzach strzelał do żołnierzy. Franciszek d'Emonian kazał wywiesić białą chorągiew, a Ludwik Rou, który słyszał o tym, że biała chorągiew znaczy pokój, przestał strzelać. Uwierzył w to, że żołnierze ulitowali się nad najpiękniejszym z miast i chcą pogodzić się z Komuną Paryską. Trzech ludzi w bluzach niebieskich czekało z uśmiechem na ustach na żoł-

nierzy, uśmiechał się także mały Pawełek trzymając w zębach swą pustą fajeczkę. Kiedy żołnierze zajęli fort, Franciszek d'Emonian kazał trzem swym najlepszym sabaudzkim strzelcom zabić trzech buntowników. Małego komunarda, Pawełka, chciał wziąć żywcem, by pokazać go narzeczonej.

Strzelcy Sabaudii doskonale strzelali, toteż reszta żołnierzy zobaczyła za chwilę trzech zabitych ludzi, z fajkami w ustach, leżących obok armaty. Żołnierze widzieli wielu zabitych, nie dziwili się więc wcale. Ale zobaczywszy małego chłopca z fajką, stracili panowanie, zaczęli wzywać to imienia Chrystusa, to wszystkich diabłów.

— Skąd się tu wzięłeś, wstrętne pluskwo? — zapytał jeden z Sabaudczyków.

— Jestem prawdziwym komunardem — z uśmiechem odpowiedział Pawełek Rou.

Żołnierze chcieli go rozszarpać bagnetami, ale pan kapral powiedział im, że porucznik d'Emonian kazał dostawić sobie żywcem małego komunarda.

— Ilu naszych zabił ten aniołek kochany — sarkali żołnierze okładając Pawełka kolbami. Pawełek zaś, który nigdy nikogo nie zabił, a tylko puszczał z fajeczki bańki mydlane, nie mógł zrozumieć, dlaczego ci ludzie tak go biją i poniewierają.

Żołnierze armii wersalskiej zaprowadzili czteroletniego jeńca-buntownika do zdobytego Paryża. Jeszcze w północnych dzielnicach strzelali, ginąc jeden za drugim, powstańcy w niebieskich bluzach, a już wokoło Pól Elizejskich, Opery i nowozbudowanej dzielnicy siedmioramiennej Gwiazdy szła zabawa. Był maj, cudowny maj, kwitły kasztany na szerokich bulwarach, a pod nimi,

przy marmurowych stolikach kawiarni, kawalerowie znów pili rubinowe nalewki, a damy uśmiechały się zalotnie.

Kiedy prowadzono obok nich małego Pawła, wsząd rozlegały się okrzyki: wydajcie go nam. Ale kapral pamiętał o rozkazie i chronił jeńca. Dla uspokojenia kawalerów i dam oddawał innych jeńców — kobiety i mężczyzn. Wytworny tłum pluł im prosto w twarz, bił eleganckimi laskami, w końcu przebijał bagnetami, pożyczonymi u przechodzących żołnierzy.

Przyprowadzono Pawełka do Ogrodu Luksemburskiego. Przed palacem odgrodzono kawałek placu, na którym gromadzono wziętych do niewoli buntowników. Pawełek z dumą przechadzał się pośród nich, a chcąc pocieszyć nieco kilka kobiet okropnie płaczących, mówił:

— Umiem puszczać bańki z mydła. Ojciec mój, Ludwik Rou, palił fajkę i strzelał z armaty. Jestem prawdziwym komunardem.

Ale kobiety, które na przedmieściach zostawiły może także dzieci puszczone bańki mydlane, słuchając Pawełka płakały jeszcze okropniej.

Wtedy Pawełek usiadł na trawie i zaczął myśleć o bańkach, o tym, że były takie cudne: niebieskie, różowe, liliowe. Ponieważ nie umiał myśleć długo, a droga z fortu Świętego Wincentego do Ogrodu Luksemburskiego była długa i ciężka, więc zasnął nie wypuszczając z rąk fajki.

Podczas gdy Pawełek spał, przez szosę wersalską dwa rumaki niosły wytworne lando. To Franciszek d'Emonian wioził swą narzeczoną, Gabriellę de Bonivet, do cudownego Paryża. Nigdy Gabriela nie była tak piękna jak dziś. Owal jej twarzy był podobny do portretów starych mistrzów florenckich. Miała na sobie suknię ko-

loru cytrynowego, ubraną wytwornymi koronkami. Mała parasolka chroniła przed słońcem majowym jej matową skórę koloru kwiatu jabłoni. Była naprawdę najpiękniejszą kobietą w Paryżu i wiedząc o tym uśmiechała się radośnie. Przybywszy do miasta Franciszek d'Emonian zawołał jednego z żołnierzy swego pułku i kazał mu dowiedzieć się, gdzie umieszczono małego jeńca z fortu Świętego Wincentego. Gdy zakochani weszli do Ogrodu Luksemburskiego, Gabriela na widok starych kasztanów w pełnym kwieciu i wspaniałych klombów przytuliła się do narzeczonego i wyszeptała namiętnie:

— Drogi mój, jak cudownie jest żyć...

Jeńcy, spośród których co godzinę kogoś brano na rozstrzelanie, z trwogą patrzyli na epolety oficerskie — każdy myślał, że to na niego przyszła kolej. Ale Franciszek d'Emonian nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi — szukał małego komunarda. Znalazszy chłopca śpiącym, zbudził go kopnięciem nogi. Chłopak, obudzony, najpierw rozplakał się, ale po chwili, zobaczywszy wesołą twarz Gabrieli, tak niepodobną do twarzy innych kobiet, które go otaczały, wziął w usta swą fajeczkę, uśmiechnął się i powiedział:

— Jestem prawdziwym komunardem.

Gabriela, zadowolona, wyszeptała:

— Rzeczywiście, taki mały. Oni chyba rodzą się zabójcami, trzeba zabijać wszystkich, nawet noworodków.

— Widziałas już. Teraz można z nim skończyć — powiedział Franciszek i skinął na żołnierzy.

Ale Gabriela prosiła, by jeszcze zaczekał. Chciała przedłużyć różkosz tego pięknego, beztroskiego dnia. Przypomniała sobie, że kiedyś, spacerując podczas jarmarku po Lasku Bulońskim, widziała budę z wywieszony-

mi fajkami glinianymi; niektóre z fajek kręciły się. Gabriela, mimo że pochodziła z dobrego szlacheckiego rodu, lubiła zabawy ludowe i dlatego, przypomniawszy sobie zabawę na jarmarku, poprosiła narzeczonego:

— Muszę nauczyć się strzelać. Żona liniowego oficera armii narodowej musi umieć trzymać w ręku strzelbę. Pozwól mi spróbować, czy trafię w fajkę tego małego kata.

Franciszek d'Emonian nigdy nie odmawiał niczego swej narzeczonej. Niedawno darował jej brylantową kolę, która kosztowała trzydzieści tysięcy franków. Czy mógł odmówić tej niewinnej zabawki? Wziął strzelbę z rąk żołnierza i podał ją narzeczonej.

Zobaczywszy dziewczynę ze strzelbą, jeńcy rozbiegli się po placu. Tylko Pawelek stał spokojnie ze swą fajką i uśmiechał się. Gabriela chciała strzelać do fajki w ruchu, krzyknęła więc do chłopca, mierząc ze strzelby:

— Uciekaj. Będę strzelać...

Pawelek widział często ludzi strzelających i stał dalej spokojnie. Zniecierpliwiona Gabriela wystrzeliła, a ponieważ strzelała po raz pierwszy, można jej wybaczyć, że nie trafiła w fajkę.

— Droga moja — powiedział Franciszek d'Emonian — pani o wiele lepiej przebija strzałami serca aniżeli kulami gliniane fajki. Zabiła pani tego wstrętnego smarkacza, a fajka została nietknięta.

Gabriela nic nie odpowiedziała. Patrząc na mały czerwony punkcik, przytuliła się do narzeczonego i proponowała powrót do domu czując teraz potrzebę namiętnych pieszczot.

Paweł Rou, który żył na ziemi cztery lata i nad wszystko lubił puszczać bańki mydlane z glinianej swej fajki, leżał nieruchomo...

* * *

Spotkałem niedawno w Brukseli starego uczestnika Komuny, Piotra Lotreka. Zaprzyjaźniłem się z nim i samotny starzec darował mi swój jedyny skarb — fajkę glinianą, z której pięćdziesiąt lat temu maleńki Pawełek Rou puszczał swe bańki. Piotr Lotrek był wtedy w Ogrodzie Luksemburskim, kiedy Gabriela de Bonivet zabiła czteroletniego buntownika. Wersalczyki rozstrzelali wszystkich prawie jeńców. Piotr ocalał tylko dlatego, iż jakiś kawaler zwrócił uwagę, że musi przecież ktoś pracować i że cudny Paryż, który zechce być jeszcze cudowniejszym, będzie potrzebował kamieniarzy, ślusarzy i kowali. Piotra skazano na pięć lat zesłania, uciekł z Kajenny do Belgii. Wszędzie towarzyszyła mu fajka znaleziona przy trupie Pawelka Rou. Darował mi ją i opowiedział wszystko, co tu napisałem.

Dotykałem często tej fajki zeschniętymi od złości wargami. Czuję na niej ślad delikatnego i niewinnego oddechu, dawno rozplyniętych baniek mydlanych. Ta zabawka maleńkiego Pawelka, zabitego przez najcudowniejszą z kobiet, Gabrielę Bonivet, w najcudniejszym na świecie Paryżu, mówi mi o wielkiej Nienawiści. Dotykając tej fajki modłę się do swego boga o jedno — by na widok białej chorągwi nie opadła strzelba, by nie padł nigdy fort Świętego Wincentego, na którym walczą jeszcze trzej szaleńcy w niebieskich bluzach, na którym bawi się chłopaczek, który puszcza bańki mydlane...

Tłum. Jacek Frühling

JAN ARTUR RIMBAUD

PARYŻ SIĘ BUDZI *)

Hej, tchórze na bulwary Paryża! Chodniki
Słońce oddechem płuc swych płomiennych otarło;
Tu niegdyś tłum Barbarów przelewał się dziki,
Święte się na zachodzie miasto rozpostarło!

Śmiało naprzód! Już wściekle bałwany płomieni
Nie wróć! Oto skwery, ulice, bulwary,
Domy na tle lazuru, gdzie blask się promieni,
A wtedy — z bomb czerwone buchały pożary!

Nad martwymi gmachami wznieście z desek budę!
W ów dzień straszliwy — przejrzał wasz wzrok osłupiały!
Oto biodr kręcicielek sunie stado rude:
Szalejcie! Śmieszne będą wasze dzikie szale.

Zgrajo suk, rozjuszona nad ścierwem! Przyzywa
Was okrzyk z domów złota! Huzia, kraść łajdacy!
Obżerać się! Noc uciech na ulicę spływa
Głębokim spazmem: pijcie, rozpaczni pijacy!

Pijcie! A gdy się światłość potężna rozpali,
Grzebiąc przy was w przepychu złocistych strumieni,
Nie będziecie w szklanice śliny lać, zdrętawali,
W białe dale bezmyślnie i niemo wpatrzeni?

Żryjcie! Na cześć królowej o zadzie falistym!
Napawajcie się pieśnią czkawek i bełkotów!
Słuchajcie, jak się w mroku ciskają ognistym
Chmury starców, lokajów, ochrypłych idiotów!

*) Wiersz napisany po upadku Komuny.

Zgrajo z sercem niechlujnym i potwornym pyskiem,
Puśćcie cuchnące gęby w ruch, a silnie, dziko!
Dawać dla tych zdrętwialców wina! Grzęzawiskiem
Hańby są brzuchy wasze, o zwycięska klico!

Wdychajcie mdłość wspaniałą, win zawrotne wonie,
Moczcie gardziele w trucizn okrutnych krynicy;
Na karki wasze kloniąc skrzyżowane dłonie,
Poeta wam powiada: Szalejcie, nędznicy!

W brzuchu kobiety z pasją szperając ohydą,
Boicie się, że zadrza jeszcze kurczem żywym,
Co krzyczy, dusząc waszą czeredę bezwstydną
Na swej piersi ogromnej w uścisku strasliwym?

Syfilitycy, blaźni, brzuchomówcy, gachy,
Cóż dla Paryża-dziewki ten cały kram znaczy?
Wasze ciała i dusze, trucizny i łachy!...
Otrząśnię się z was ona, zgnilców i krzykaczy!

A gdy z jękiem na własne wyprute jelita
Padniecie przerażeni, płacząc złoto swoje,
Wypierśna nierządnicą, w czerwień bitw spowita,
Z dala od was zaciśnie ciężkich pięści dwoje!

Paryżu! Gdy two stopy tak gniewnie pisały,
Gdy zniosłeś tyle ciosów, ran nożem zadanych,
Gdy leżysz z tłacą jeszcze w źrenicy zeszklalej
Resztą cichej dobroci płowych dni wiosnianych!

O, ty miasto bolesne, stolico zamarła,
Łbem i pierśmi ciśnięta ku Przyszłości, która
Na twą bladość śmiertelną miliard wrót otwarła:
Błogosławić by mogła cię Przeszłość ponura!

O ciało, obudzone na nieludzkie męki!
Znów wre życie potworne! I głuchną w twojej głębi
Sine tętna poezji, śpiewnych wierszy dźwięki,
A miłość twą — dłoń błędna, dłoń lodowa ziębi'

Lecz choć zgrozą przejmując wygląd twój okropny
I choć nigdy zielona Natura nie miała
Takiej krosty na sobie cuchnącej i ropnej —
— Cudownie piękna jesteś, stolico wspaniała!

Ochrzcila cię najwyższa poezja — orkany!
Krzepią cię przeogromnych potęg zawieruchy!
Dzieło two wre, śmierć czyha... O, grodzie wybrany,
Niech wrzask i jęk wypełni serce fletni głuchej!

Wtedy te wycia więźniów, te okrutne śpiewki,
Płacz wyrzutek, wyklętych poeta pochwyci,
Promieńmi swej miłości będzie smagał dziewczki,
Strofy jego podskoczą: Tak to, tak, bandyci!

— Wszystko znów, proszę państwa, w porządku: znów
[płaczą]

W dawnych zamtuzach orgie, rżąc po dawnemu,
A na murach brunatnych latarnie majaczą,
Płonąc blaskiem złowrogim ku niebu blademu.

Thum. Julian Tuwim

ZWYCIĘŻENI

W nocy swych więzień rzekli sobie zwyciężeni:
Skuto nam ręce, ale my żyjemy jeszcze.
Gdy żelaza zginają nam barki ku ziemi,
Żywy skarb: w żyłach naszych krążąc krew szeleszcze.

W naszych głowach strażują bacznie nasze oczy,
Czułne szpiegi, za kością czołową mózg płonie,
Gdy trzeba będzie miażdżyć, mord z niego wyskoczy,
I twarde będą szczęki nasze, szybkie dłonie.

Na ogrom swego błędu ślepi w pierwszej chwili,
Szaleńcy, co za późno pojmą jego wagę,
Nam swej łaski tchórzliwej zniewagę rzucili,
Tak! Dobrze! Łaska pomści nas za tę zniewagę.

Skuli nas! Lecz kajdany po to wróg nałożył,
By mogły bić, gdy spadną w mroku pod pilnikiem,
Strażników rozbijanych, a tryumfatorzy,
Święcąc zwycięstwo, dadzą czas umknąć strażnikom.

I znów walka! I może zwycięstwo i sława,
Walka straszna, zwycięstwo miażdżące żelazem,
A że tym razem władać będzie siła prawa,
Walka będzie ostatnia, zaprawdę, tym razem!

Gdyż umarli, wbrew starym marzeniom mistycznym,
Jeśli kul nie szczędzono, doszczętnie umarli,
Czas już nie jest upiorów galopem epicznym
Na widmowych rumakach, pośród nocy czarnej.

Klacz Rolanda i Roland to mistyczne dzieje,
Sens ich rwie się i żąda wysiłku nad życie,
Co by nas zgubił; jeśli mieliście nadzieję
Na litość naszą, drogo za błąd zapłacicie.

Wy umrzecie z rąk naszych, wiedźcie, gdy zwycięstwa
Los nam przypadnie. Skamląc litości umrzecie.
Tego chce sprawiedliwość, tego żąda zemsta,
Tego konieczność jutra, której nie cofniecie.

I ziemia, o jałowym dawno, chudym łonie,
Długo, chciwie, radośnie pić waszą krew będzie,
Której ciężki i smaczno-kwaśny opar wionie
W niebo i zaróżowi obłoku krawędzie.

Psy i wilki oczyszczą z ciała wasze kości,
Ptaki splądrują trzewia stadami głodnymi,
A my będziemy śmiać się z ogromnej radości,
Bo trup jest trupem, my was tego nauczymy!

Przełożył Mieczysław Jastrun

PAMIĘCI POLEGŁYCH

Któremu smutną kołysanką skargi,
Któremu ciemna piwnica kołyską —
Dla ciebie w jęku zawarły się wargi,
Krew barykadę zbryzgała paryską.

Dla ciebie zawrzał wtedy bój uliczny,
Dla ciebie tylko bez trwogi umierał
Robociarz i poeta romantyczny,
Paryski gawrosz i polski generał.

Salutowały im wrogie armaty,
Kiedy na Père Lachaise chowano ciała.
I śpiew nadgrobnny był hymnem zapłaty,
I na tę pieśń wersalska moc truchlała.

Ci umierali zawsze niepodległe,
Jak łach rzucali niewolnika życie,
To są tych samych bojowników legie
W Moskwie, Warszawie, Paryżu, Madrycie.

Wiedziałaś — jeszcze szeregi się zderzą
I z żywych piersi krwi strumienie bryzną,
By macierzysty kraj ci był macierzą
I kraj ojczysty — naprawdę ojczyzną.

A tych, co padli, bijąc się za ciebie
Przeciw podłości, przemocy i zdradzie,
Słowo poety z popiołów odgrzebie —
I będą wiecznie trwać na barykadzie.

Polacy w walce
„Za wolność naszą i waszą“

„Komuna uczeła bohaterских
synów Polski stawiając ich na
czele obrony Paryża“.

(Karol Marks)

ZE WSPOMNIENI ROŻAŁOWSKIEGO,
ADIUTANTA JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

...70 batalion w szyku bojowym ruszył naprzód. Nieprzyjaciół, wspomagany ogniem Mont Valérien i innych baterji, przyjął naszych żołnierzy huraganowym ogniem z broni ręcznej. Ludzie padali z prawa i lewa. Nastąpił moment krytyczny, który mógł się okazać i zgubny. Wtedy Dąbrowski z szablą w ręku stanął osobiście na czele batalionu. Widząc go kroczącego w pierwszym szeregu wojsko z okrzykiem „vive la Commune!” rzuciło się do ataku na bagnety...

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

DUMA O ŚMIERCI
JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

Nie dla laurów, nie dla nagrody,
Nie dla czczej, zuchwałej przygody,
Kiedy na wierzch go burza wyniosła,
Walczył tutaj Dąbrowski Jarosław.

Lud warszawski czy lud paryski
Jednakowo sercu był bliski.
On w Paryżu o Polskę Ludową
Walczył, usta zaciąwszy surowo.

Jego serce zdradzać nie umie,
Do ostatka wierne Komunie
I jak Wisła od wierzb rozplakana
Lśni mu łuną pożarów Sekwana.

Wielkie serce mężne jak szpada,
Nieugięte jak barykada,
A gorące jak wystrzał z moździerza
Jednym rytmem z Komuną uderza.

Wersalczycy już na Montmartrze,
Lecz Montmartre ma w sercu tym tarczę
I odpiera ataki wersalskie,
Podejmując nierówną walkę.

A gdy z polskim wiatrem we włosach
Padł od błędnej kuli Jarosław,
Szepnął: „Serce na wieki tu kładę...
Bo i z serc można wznieść barykadę.

Niech żałoba was nie ocienia,
Moje życie nie ma znaczenia.
Choć śmierć szpadę z rąk mi wytrąca,
O Republikę walczcie do końca!”

Komunardzi odważni płaczą
Nad Polaka śmiercią tułaczą,
Ulicami Paryża żałobny
Sunie kondukt, do chmury podobny.

I na wiekim placu Bastylli
Każdy czoło przed trumną chyli
I z pochodni czerwieńszych od zorzy
Lud paryski kaplicę utworzył.

Tak Dąbrowski — komunard Polak,
O Republikę walcząc, poległ.

WIKTOR WOROSZYLSKI

Z poematu „Noc komunarda”

W Paryżu gwarnym mnóstwo ulic,
pałaców i rzęsistych światel —
lecz skolatanej nie przytulić
głowy, nie zamknąć się przed światem
w chciwego dobrobytu muszli,
nie żyć malutkim szczęściem ciepłym —
nie takie — większe — szczęście we krwi
tętni, więc trwalsze dobro musi
znaleźć Dąbrowski.

Dni, mijając,
pleców nie garbią i nie gaszą
blasku w źrenicach niespokojnych
i umysł jest, jak niegdyś, chłonny,
kiedy Dąbrowski patrzy w twarz
stolicom pysznym, obcym krajom.

Nie tylko dwie ojczyzny są,
ale dwa światy na tym świecie!

To jedno, po wędrówce swojej
zmudnej, Dąbrowski dobrze wie:
jak w miastach i miasteczkach Polski,
ruderach na przedmieściach Moskwy,
ten nowy lepszy świat się rodzi
w Paryżu pośród ludzi prostych.

...Działami przegrzmiał martwy Sedan,
lecz zanim Prusak kwiat jabłoni
brutalnie pod Paryżem zerwał,
Paryż za broń pochwylił: nie dam!

A wtedy karzeł przestraszony,
premier — z najeźdźcą pokój zawarł
i pisał: „Paryż nie ma prawa!”

— Za późno! Umiesz, to się wedrzyj!
Jest rok siedemdziesiąty pierwszy —
sprzeciwisz się bezładnym tłumom,
lecz czoło schylisz przed Komuną.

I oto jest Paryża wrogiem
rentier z Prusakiem sprzymierzony.
Z Wersalu dział „francuskich” ogień
na Paryż. Histerycznie drżą
fałszerzy żony: „Wrócić, wrócić!
Wytępić plemię rewolucji!”

Będzie batalia, którejś pragnął,
Dąbrowski!

Niech żołdactwa magmą
burzuj spłoszony nas zaleje,
za rokiem rok policja niech
na lud francuski mknie do szarży,
nie my, to drugie pokolenie
synów Paryża, robociarzy,
walki o wolność nie poniecha!

A nam — przewadze ich na przekór,
stać i barykad nie oddawać,
nienawiść na pociski przekuć,
by wiedział, że Komuna trwała,
prawnuk plebejski by pomyślał:
łatwiejsza walka moja dzisiaj,
bo ich zacięta była sprawa.

PIOTR KOZUCH *)

ŚMIERĆ JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

Oto jest wiosna strzaskanych drzew,
Ciepłym powietrzem przelatuje olów,
Przymknij oczy — usłyszysz, jak pocisk
Lecąc przecina ptaszęcy świergot.
Jest rzeźwo, świeżo. Otwórz oczy: liście
Wirując lecą na skrwawione czoła.

To robotnicy Paryża. Ciałami
Wspierają ściany ostatniej z barykad.
W rozpaczy biegli brukami zaułków,

*) Piotr Kozuch — poeta rewolucyjny, zginął z rąk siepaczy hitlerowskich.

Gdy dzień niebieski pośród cieni znikał.
To lud Paryża, który wreszcie zamilkł,
Ciśnięty w poprzek nadchodzącym pułkom.

Nocą polegli. Kule zagasiły
W ich oczach smugi wschodzącego świtu.
Straszne milczenie było wśród walczących.
Pocisk niosący w barykadę wyłom
Gasił jednego, w serca wszystkich kasał:
Konała wolność niedawno zdobyta.

To gasły światła sal szumiących ludźmi.
Czy wolność w sercach rozkwitła na darmo?
Daremnie Paryż do życia się zbudził,
Zgarbieni walką budowali jaśniej?
Wersalczyk granatami noc tu ciska czarną!
Zapał lont, Jarosławie, zanim wolność zgaśnie.

Jeszcze trwasz. Razem z tobą okrwawiony chłopiec.
Szczękasz kartaczownicą, posępny, zmęczony.
Ciężko zostać samotnie w męczeńskim okopie,
Ciężko nosić samotność po cieple braterstwa.
Już każdy z towarzyszy na swój sposób skonał,
Twardym, męskim wysiłkiem przekreśliwszy przestrach.

Teraz już czas na ciebie i dziecko paryskie.
Pocisk rozerwie szarość i nocą pokryje.
Zdepczą cię wersalczycy. Zabłyszczą latarnie.
Jeszcze chwila. Znowu wbijasz wzrok w powietrze czyste —
Drzewa ku niebu wznoszą połamane szyje,
Dachy lśnią rosą świtu i bruki są czarne.

O, jakże tobie tęskno za innym Paryżem!
Chodziłeś także wiosną przez zaułków biegi,
Mierzając twarde możliwości walki i oporu.
Wtedy pokłady dachów przepływały wyżej —
Szedłeś w wielkiej kotlinie kamieni i cegieł,
Pociętych plugiem deszczu, którym wichher orał.

Wśród tych ulic poznałeś ojczyznę człowieczą,
Rosnącą obrazami nad dzieciństwa zapach,
Nad cichą ziemią zdarzeń młodzieńczych i przeczuć.
Rosnącą przez granice, których strzeże żandarm,
Poprzez kule, co lodem gaszą serca zapał,
W stronę kraju, gdzie wzniósł się rewolucji sztandar,

W stronę kraju, gdzie wolność zapaliła oczy
Wisząc oparem światła nad przesłami mostów,
Rosło niebo znad Rosji, Mazowsza i Węgier,
Kiedy ludzie i drzewa unosili prosto
Swe głowy w czysty błękit i kiedy wiatr począł
Wołać liście z gałęzi poczerniałych w węgiel.

To była twoja twierdza. Teraz cię osacza
Jak grobowiec zmarłego. Już tu pozostaniesz
Wrośnięty całym ciałem w mur wszystkich kamienic,
W groby wszystkich umarłych, we wdów ciężkie płacze.
Gdzie bije jeszcze ludzkie serce żywym drganiem,
Tam będziesz. Komuny czas je w twierdzę zmienił.

Komuny czas surowy. Trupy komunardów,
Wzniesione barykadą, jak posępną wyspę
Już zalewa ocean ciężkich, czarnych butów.
Lecz z przeszłości zwęglonej odłupią oskardy
Żywe ciała poległych. Horyzoncie, przyspiesz
Dni, które ciemność ciężką w błyskawice stłuką.

Na horyzoncie spokój. Już paryski chłopiec
Zanurzył drętwiejące ręce w ciepłej ziemi.
Jest cicho. Wiatr porusza włosami jak trawą.
Dąbrowski skonał. Oczy spaliły się w popiół.
Spojrzyj w przestrzeń i słuchaj. Jeśli możesz, przemierz
Samotność ludzi zmarłych przedwcześnie i krwawo.

Rzekę, którą odpływa robotniczy Paryż,
Mocne piersi, zmiażdżone mordą wrzącą stałą,
Oczy, w których się dźwigał nowych zdarzeń zarys,
Czoła, które wolności wiatr gorący spalił,
Ciśnięte hardą wyspą przeciw czarnym falom
W stronę ojczyzny naszej, gdzie socjalizm.

1940

ŚMIERĆ JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

W rogu barykady pod ścianą małego, niskiego budynku, którego do połowy zamurowane okna pozbawiała ona światła, ujrzelśmy za tarczą kartaczownicy zgiętego wpół Dąbrowskiego. Kręcił on zgrzytającą korbę ruchem miarowym, a zaciśnięte szczęki i pochmurne oczy wyrażały jakąś myśl daleką i rozpaczliwą. Poczułem napływ szalonej egzaltacji. Patrzyłem na Dąbrowskiego. Nie śmiałem ani zawołać nań, ani położyć mu ręki na ramieniu. Rozumiałem, że nie należy mu przeszkadzać. Trzeba pozwolić, aby armata jego wypluła cały swój ładunek. Podeszedłem bliżej i przyglądałem się napięciu rysów z profilu, przytwierdzonej do podbródka

zółtej brodzie, która od czasu do czasu drgała. Becker rozciągnął się obok niego w całej długości, zmierzyl i wystrzelił. I ja nabiłem swój karabin. W tej chwili nastąpił wybuch. Odruchowo pochyliłem się i poczułem, że tonę w obłoku kurzu. Gdy podniosłem oczy, ujrzałem obok siebie Beckera, który nie leżał już wyciągnięty na brzuchu w pozycji strzelca, ale wywrócony na plecy pośród kamieni bruku z rozkrzyżowanymi ramionami i krwawiącym czołem. Dąbrowski zaś spadł na armatę ze zwisającą głową i opadającymi ramionami. Armata wersalczyków umilkła, jakby rozumiejąc, że oto udał się jej strzał, i zapadła cisza, która wydała mi się wiecznością.

— Świnie! — zachrypiał jakiś głos. — Zabili Dąbrowskiego!

— Becker — szepnąłem. — Becker, podnieś się... Proszę cię!

— A ten tutaj — cichutko wymówiła jakaś kobieta biorąc mnie za rękę — czy to twój towarzysz?

Ścisnąłem drobną stwardniałą rączkę i potakująco skinąłem głową. Ale to było niemożliwe, aby on nie żył. Albo w takim razie świat zostanie pozbawiony myśli. Któż odtąd będzie mi tłumaczył wszystko, co się dzieje? Nic się już nigdy dzieć nie będzie. Przypomniłem sobie, że od kilku godzin Becker milczał. Był już zapewne martwy. Nic nie miał do powiedzenia.

— Nie ma już nic do powiedzenia — wymówiłem głośno.

Pochylono się nad martwymi ciałami, przykładano rękę do serca, unoszono ramiona, które opadały. Byli istotnie martwi. Otoczono mnie. Podniosłem głowę i zwolna rozejrzałem się dokoła. Wśród kobiet pozna-

łem kilka spomiędzy tych, które przyłączyły się do nas na Białym Placu. Ta, która ujęła moją dłoń, trzymała ją nadal w swojej. Prócz kobiecych twarzy były też i męskie; pochylały się one, obrosnięte, z przesłoniętymi przez łzy, nabiegłymi krwią oczyma. Jeden z mężczyzn zamrugał, odchrząknął i głosem przyćmionym, w smugach woni tytoniu powiedział z wolna:

— Ach, to smutne...

Wydął policzki i kończył basem:

— Dąbrowski... Zmarł jak zacny towarzysz... I twój kolega również...

— Trzeba by pochować ich razem.

— Wydamy ci ich — powiedziała jedna z kobiet. — Sam ich zabierzesz.

...Kanonada rozpoczęła się na nowo. Ale rozrzewnione oblicza pozostały przy mnie. A później koło się rozstało. I zobaczyłem swoich dwóch zmarłych, przytulonych do siebie na noszach, z głowami wyłaniającymi się spod czerwonej płachty! Czterech ludzi dźwigało nosze.

— Idźcie na Ratusz — odezwała się jedna z kobiet — powiecie, że to Dąbrowski i jakiś inny jeszcze porządny chłop, którzy polegli w obronie Republiki.

— Idź — mówiły kobiety popychając mnie z lekka. — Zabierz ich.

Ruszyłem w drogę ciągnąc po bruku trzymany w ręku karabin.

Huk detonacyj nie ustawał już. Mijani po drodze ludzie pytali:

— Trzymamy się jeszcze na Montmartre?

I udzielali nam nowin: Wróblewski objął kierownictwo obrony na lewym wybrzeżu. Bitwa trwała koło Czer-

wonego Krzyża i na szosie du Maine. Na drodze, którą szliśmy, panował jeszcze spokój i wznoszono tu pośpiesznie barykady, które otwierały się dla przepuszczenia naszego pochodu. Jonfosse wołał uroczyście:

— Z drogi przed bohaterami! Przepuście generała Dąbrowskiego, który dzielnie poniósł śmierć za lud!

Wojskowi odkrywali głowy albo prezentowali broń.

— Dąbrowski! — mówili — zabili więc Dąbrowskiego.

— Pomścimy go!

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

BALLADA

O GENERALE WALERYM WRÓBLEWSKIM

Motto: W inną Polskę niż ta, którą
lud nasz pracowitymi rękoma z gro-
bu podźwignie, nie wierzę.

Walery Wróblewski

Niebo Paryża, jak wojna,
Całe w płomieniach i dymach.
Fort Issy się nie poddaje,
Fort Issy jeszcze się trzyma.
Cztery ataki odpiera
Wróblewski — bitny generał.

On, który broni fortów
Z rewolucyjnym wojskiem,
Choć noc wróży rychłą klęskę.

Wierzy w Komunę jak w Polskę,
Którą ludowe siły
Podźwigną do życia z mogiły.

Już nieuchronna klęska
Jak ciemne widmo się zbliża.
Wdzierają się wersalczy
Przez bramę Saint-Cloud do Paryża.
Jak lew, kulami przeszyty,
Padł Montmartre przez nich zdobyty.

Wróblewski cało uchodzi
Ze swym oddziałem po gruzach
I z nowym planem walki
Zjawia się u Delescluze'a:
„Stoczyć bój niespodziany
Na lewym brzegu Sekwany“.

Wróblewski jeszcze chce walczyć,
Wróblewski jeszcze się ludzi:
„Czy masz, obywatelu,
Choć tysiąc walecznych ludzi?“
Delescluze odpowie z żalem:
„Mam trzystu ich, generale...“

Majowa noc jest jak ogród
Cały w żałobnych kwiatach.
Pijani krwią wersalczy
Znów przypuszczają atak.
Padając na most Austerlitzki,
Świszczą wersalskie pociski.

Majowa noc jest jak cmentarz,
Lecz w sercu męstwo i hart.
Ostatnia barykada
Na placu Joanny d'Arc.
Domy i drzewa płoną,
Wróblewski kieruje obroną...

Pod murem federatów
Wróblewski w grobie leży.
Choć padła Komuna Paryska,
On w nią jak w Polskę wierzył.
W ludową, pełną siły,
Podźwigniętą z mogiły.

JÓZEF NADZIEJA PISZE Z AZJI ŚRODKOWEJ *)

(fragment)

Na odrapanej szkolnej ławie,
W Ojczystych, pomnę, czytałem dziejach,
Jak grzmiało w świecie o naszej sławie,
O polskich Jędrkach, Wojtkach, Maciejach.

„Za wolność waszą i naszą“ Polak
Z giwerem stał na szańcu bratnim,
I w sztandar go spowijano, gdy poległ,
I chowano go dzwonem armatnim.

Gdzie my teraz? Gdzie ci wędrowcy?
Przed nami, jak tęcza, ich szabel blaski.
Gdzie Jarosław i Jan Dąbrowscy?
Kościuszko? Bem? Kazimierz Pułaski?

O, dajcie karabin! Sama się zmierza
Do strzału ręka, krew uderza
Do skroni, i sercu pierś za wąska...

... Proszę przyjąć mnie na żołnierza
Narodowego polskiego wojska!

*) Z tomiku: „Z ziemi gościnnej do Polski“.

Do wielkich tradycji polskich komunardów walczących na barykadach paryskich „o wolność naszą i waszą“ nawiązały bohaterskie oddziały ochotników polskich w brygadach międzynarodowych republikańskiej Hiszpanii. Imię bohatera Komuny, generała Jarosława Dąbrowskiego, nosiła polska brygada ochotnicza, wznosząc wysoko sztandar międzynarodowej solidarności proletariatu.

Wielki syn polskiej klasy robotniczej generał Walter-Świerczewski, bohater spod Madrytu, całe swe życie poświęcił walce „o wolność naszą i waszą“.

MIECZYŚLAW JASTRUN

TREN NA ŚMIERĆ GENERAŁA ŚWIERCZEWSKIEGO

Stary, spłowiwały na wietrze i wieku,
W deszczach, pochodach, w bitewnych kurzawach
Sztandar, jak łachman zdarty na człowieku,
Ten sam, co niegdyś okrył Jarosława.

Szli komunardzi po przyszłe zwycięstwo,
Młodzi od śmierci ginęli. Ich wnuków
Nad Manzanares wróg dosięgnie zemstą,
W Jaramie gorzkiej, na warszawskim bruku.

Czy raną brocząc, czy ruszając w pościg
Od brzegów Ebro po Narew i Wisłę
Sprawa szła o to, by w kraju przyszłości
Usta prawdziwe i łzy były czyste.

Sprawa szła o to, Walterze, by ręka,
Która karabin ścisnęła ostatni,
Jutro oddała uścisk dłoni bratniej,
Żeby skazaniec przed salwą nie klękał.

Ażby jedno łączyło nas słowo
W Jaramie gorzkiej, w Madrycie, w Warszawie
Po długiej nocy i po walce krwawej,
Gdy się nam przyjdzie urodzić na nowo.

Nie zakończona jeszcze Twoja walka,
Hiszpanii, Polski, świata Generale,
Czy pójdziesz jeszcze do Grecji, za Bałkan,
Czy cię powiozą Atlantyku fale.

Ten sam wróg czyha zza drzewa, zza węgla,
Którego znalazłeś... Dzisiaj Ciebie w polu
Stara żołnierska, nagle śmierć dosięgła
Nie mogąc wczoraj dosięgnąć, Karolu.

MIECZYSLAW JASTRUN

LUDZIE WOLNI

Kto wolny żył i dla wielu,
Temu dziś wolność służy,
I synów mieć będzie i wnuków
Na czas pogody i burzy.

I powie Francuz i Hiszpan,
Krwia brocząc na bruku gorzkim:
Za mnie, za wiek, za komunę
Umierał Polak Dąbrowski.

Kto zaczął dzień od miecza,
Niech nie wypuszcza go z dłoni,
Bo to jest rzecz człowiecza:
Bronią walczyć o jutro bez broni.

Ale gdy walka się skończy,
Gdzie odpoczynek nas czeka,
Nie będzie nic oprócz oczu
I nagich dłoni człowieka.

Ale Komuna nie zginęła...

EUGENIUSZ POTTIER — TWÓRCA HYMNU
PROLETARIACKIEGO „MIĘDZYNARODÓWKA

Eugeniusz Pottier urodził się w Paryżu w roku 1816. Był synem bednarza. Chłopiec już od dzieciństwa pracuje ciężko przy warsztacie i tylko wieczorami chłonie chciwie to wszystko, czym oddycha Paryż robotników. W szkole klasztornej nauczył się czytać i pisać. Całą znajomość literatury ojczystej, całą wiedzę, którą posiadał, musiał zdobywać wytrwale sam, ślęcząc przy łóżewce do późna w noc nad książkami.

Po rewolucji lipcowej r. 1830, za czasów „monarchii mieszczańskiej“ zaczyna się burzliwy i piękny okres życia poety. Oto Pottier powoli, ale pewnie wstępuje na drogę pracy artystycznej i już jej do ostatnich lat życia nie opuści: zostaje rysownikiem, projektuje oryginalne wzory artystyczne dla fabryk i tkalni — równocześnie wschodzi w ukryciu jego wielki talent piosenkarza „szansoniera“. Są to zrazu wierszyki miłosne, piosenki charakterystyczne. W latach czterdziestych nuta gorczy i skargi na istniejący porządek, nuta polityczna staje się wyraźniejsza, ostrzejsza, wzbiera coraz mocniejszymi akcentami buntu.

Na tym etapie rozwoju twórczego zastaje Eugeniusza „Wiosna Ludów“, 48 rok. Stolica wygania precz króla mieszczanina. Krwawe są walki uliczne. Młody

proletariat francuski żąda praw. Tym razem nie śpiewa już Pottier piosenki na rusztowaniu jako widz, tym razem własną piersią broni — nie po raz ostatni — paryskiej barykady. Przecież w tyglu tej rewolucji przepłynie Pottier kruszec zdarzeń na pieśń bojową: jej ostrze skierowane jest w pierś starego, w gruzy rozpadającego świata, jej refren ma podźwięk grozy:

„O, płaczcie słońca,
gdy planeta ginie“.

* * *

Wypadki 1870 — 71 r. pochłaniają poetę tak, że nie starczy czasu nawet na pisanie wierszy.

Jest przecież Pottier merem okręgu II, po 18 marca zostaje członkiem Komuny, pracuje, dwoi się i troi, działa. Po dwóch miesiącach rewolucja upada. Zaczyna się krwawy tydzień — straszliwa „Śmierć Paryża“. Poeta u boku Ferrego, Varlina, Delescluze'a broni ostatnich tragicznych barykad w XI okręgu. Nie padł w boju. Ocalał, aby być godnym piewcą towarzyszy poległych w walce.

Po miesiącu ukrywania się w stolicy udaje mu się przedrzeć do Belgii. Opuszcza miasto pełne zgłiszcz i ruin, w którym bruk nie obsechł jeszcze od krwi. Ale poeta nie jest złamany na duchu. Zdobywa się wtedy na wysilek twórczy, pisze nowy poemat, chanson socialiste *), jak nazwie go autor skromnie. Tak powstaje podniosły hymn wiary, hymn ufności w nieuchronne zwycięstwo międzynarodowego proletariatu.

„Wyklęty, powstań, ludu ziemi...“

*) Piosenka socjalistyczna — czyt.: szansa socjalist.

Po dniach upadku, po klęsce rodzi się właśnie zwycięska *l'Internationale* *), *Międzynarodówka*. Melodię, którą zna dzisiaj każde dziecko, bez której nie można w ogóle sobie hymnu tego wyobrazić, skomponował prosty robotnik, proletariusz, dyrygent chórów fabrycznych m. Lille, Piotr Degeyter, w 1888 r., a więc w rok po zgonie poety. Pottier nie poznał pełni tej harmonii, jaką stanowi związanie melodią wzniosłych wierszy *Międzynarodówki*. Co więcej, nie wiedział banita-rewolucjonista, że poemat jego podniosą masy do godności światowego hymnu proletariatu.

*) Czyt.: Lęternasjonal.

EUGENIUSZ POTTIER
(1816 — 1887)

KOMUNA PRZESZŁA TĘDY

Edwardowi Vaillant, członkowi Komuny

Zażegł błyskawic żar Komunę,
Paryż jest dumny z niej niemało;
Czuć świat dziś prochem, proch — piorunem,
Rzekłbyś, że wczoraj jeszcze grzmiało.
Jej klęska wciąż na odwet czeka,
Więc klechy, sknery i przybłędy
Drżą, zabitego mając ćwieka:
Komuna przecież przeszła tędy!

Bruków ulicom brak, jak długie,
Zdziesiątkowane bataliony
Szły równo, ostre śmierci pługi,
Ryjąc głębokich bruzd miliony.
Z tą hekatombą niezmierzoną
Ściekała krew strumieniem wszędy,
Lecz spójrzcie: wschodzi siew — czerwono...
Komuna przecież przeszła tędy!

Czy pomnisz, Ludu, dziś Tuillerie?
Osadził w nich kat — grudzień pana;

Święcił tam orgie i brewerie,
Z pałacu zrobił wnet lupanar.
Codziennie zmieniał tam kochanki,
Deptał dla zbytku wszelkie względy,
Lecz — z dymem poszły mu firanki...
Komuna przecież przeszła tędy!

Znienawidziła Bonaparta
Na kolumnowej wysokości
I wojen kult, co — tam do czarta! —
Był wręcz obelgą dla ludzkości.
Niech więc grzmi Chauvin¹, niech ujada —
Kolumny z brązu groźne zręby
Już padły, jak z kart domek pada...
Komuna przecież przeszła tędy!

Europo, Zjednoczone Stany,
Dziś Zjazdy pracy obradują,
Nauka pęd ma niewstrzymany,
A postęp wartko młoty kują.
Dla jutra — granic żadnych nie ma,
Świat przyszłość tka ze złotej przędzy,
Jeden dla ludów plan i temat...
Komuna przecież przeszła tędy!

Już Kongres orzekł: „Moje — wszystko:
„Fabryki, zbiory, rzeki, place,
„Kolej, kopalnie, torfowiska,
„Narzędzia wielkiej ludzkiej pracy,

¹ Czyt.: Szowę.

„Bo ustokrotni się produkcja,
„Gdy huty nasze wspólne będą,
„Leniów przekreśli rewolucja...“
Komuna przecież przeszła tędy!

Już mózgi piją światło wiedzy,
Duma rozpiera ludziom piersi,
Z wiosek i miast, z ulic, z między
Uczeńsi stają się i śmielsi.
Kiedy w przysiółku zadymionym
Myślą o wielkim dniu z legendy,
To o sztandarze śnią czerwonym...
Komuna przecież przeszła tędy!

Ze zbioru „Chants Revolutionnaires“
Wybrał i przełożył Allan Kosko

WL. MAJAKOWSKI

Z poematu „Lenin“

Rozsrożony burżuj
nie zna żartów.
Jęcząc,
zębem Thiersów rozszarpany
cień pradziadów
paryskich komunardów
jeszcze teraz
krzyczy
spod paryskiej ściany.

— Słuchajcie, towarzysze!
Uważajcie, bracia!
Biada rozdzielonym,
bierzcie przykład z nas!
Atakujcie wspólnie!
bijcie partią!
w kułak zacisnąwszy
moc roboczych mas.

Tłum. Artur Sandauer

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

KOMUNA NIE ZGINEŁA!

Jest szeroka kraina, gdzie wiatry północy
Są jak mknące po stepie rozwierzgane konie,
Gdzie jeśli pieśń zadźwięczy, to pieśń pełna mocy,
Gdzie jeśli serce płonie, to potężnie płonie.
Tam Nawa srebrnoluska, tam Jenisiej płynie,
Tam wodną grzywą trzęsie Dniepr — kobzarska rzeka,
Ale posłuszne woli prostego człowieka
Te wiatry i te rzeki są podobne glinie,
Którą człowiek ulepi według swoich pragnień:
Rzeki skieruje wyżej, wiatry niżej nagnie.

Ta szeroka kraina — to radziecka ziemia,
Gdzie człowiek się codziennie w tytana przemienia
I na miarę swych stepów w walce najzawziętszej,
Jak wichler — dał rozszerza ludzkie swoje wnętrza.
Rozkaze — i urodzaj zwiększy się w dwójnasób,
Rozkaze — i na stepach masz szczecinę lasów.

On zmieniając klimaty na rodzimej ziemi
 Klimat ludzkiego serca w gorętszy przemieni.
 Gdy ktokolwiek po klęsce Komuny Paryskiej
 Mógł powiedzieć, rozpaczy lub obłędu bliski,
 Że Komuna umarła pod ciosami miecza,
 Ta szeroka kraina słowom tym zaprzecza!
 Tu wysokich kominów nieznurzone gardła
 Wołają w świt: „Komuna żyje! Nie umarła!“
 Tu każdy kłos, podając sierpom złotą szyć,
 Dojrzałym ziarnem woła, że Komuna żyje!
 Grzmi ruda syberyjska, woła stal i węgiel:
 „Komuna nie umarła, lecz rośnie w potęgę!“
 Ręka, co na traktorze sterze się oparła,
 Każdym palcem i żyłą mówi: „Nie umarła!“
 „Nie umarła!“ — wołały stalingradzkie działa,
 W których huku Komuna zwycięstwem zagrzmiała!

Komuna nie umarła! Bo czy świt umiera,
 Gdy go przesłoni ciemność, niewidoma, mglista?
 Po nocy on płomienne wrota znów otwiera.
 Ciemność mówi „on umarł“. Patrzysz — on zmartwych-
 [wstał.

Komuna zmartwychwstała w radzieckiej krainie,
 W jej ludziach i w jej pracy, w miastach niezliczonych,
 W wodzu mas robotniczych, co ma dumne imię
 I po nocach na Kremlu czuwa za miliony.

Komuna zmartwychwstała w sztandarów szeleście
 W Pradze Czeskiej, w Warszawie, w Chinach, w Buda-
 [peszcie,

W Republikach Ludowych grzmi jej krok zwycięski
 I w sercach robotników całej kuli ziemskiej.

Polski murarz, co z ruin podźwigał Warszawę,
 Polski górnik, co w węglu rzeźbi los człowieka,
 Rolnik, włókniarz, kolejarz, stolarz — wszyscy oni,
 Ludzie o dobrym sercu i o mocnej dłoni,
 Którym przyszło tak długo na socjalizm czekać
 Pośród nocy i wichrów, w faszyzmu piorunach —
 Zaświadczaają swą pracą, że żyje Komuna!

Wielka ziemia Kościuszków, Dąbrowskich, Wróblewskich,
 Piękna ziemia mężnego jak prawda Waltera
 Woła wśród pól kujawskich, wśród pól mazowieckich:
 „Komuna nie umarła! Wolność nie umiera!“

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

SŁOWO O STALINIE

(f r a g m e n t y)

I

Wiek dziewiętnasty gasł,
 jak gaśnie gazowa latarnia
 na ulicach fabrycznych osad,
 wiek maszyn parowych i haseł,
 wiek, w którym proletariat
 nie mógł ziemi wysadzić z posad.
 Wiek „Manifestu“ Marksa,
 telefonów i telegrafów,
 klęsk Komuny i zwycięstw Bismarcka,
 haussy i baissy, fortun i krachów.

Rosły przedziałnie Manchesterów i Łodzi,
skakały akcje żelaznych kolei,
a z suterren,
z poddaszy,
z przedmieść
tłum nadchodził
z piersią nagą
i z pieśnią nadziei.

Pieśni Pottiera! w krwawej glorii
dalej szum pokoleniom!
„Rewolucja — to parowóz historii“ —
powiedział Marks, działał Lenin.

Wiek dziewiętnasty gasł,
jak lampa gazowa w oddali,
zrodzony wśród walki klas,
lat dwadzieścia miał Stalin.

V

Pędzi pociąg historii,
błyska stulecie — semafor.
Rewolucji nie trzeba glorii,
nie trzeba szumnych metafor.

Potrzebny jest Maszynista,
którym jest On:
towarzysz, wódz, komunista —
Stalin — słowo jak dzwon!

VI

Któż, jak On, przez dziesiątki lat
na dziobie okrętu wytrwał?
Szóstej Części przygląda się świat.
Bitwa.

Tam — bezrobocia, strajki, głód,
Tu — praca. Natchniony traktor.
Tworzy historię zwycięski lud.
Chwała faktom!

Któż, jak On, przez dziesiątki lat
wiódł ludzkość na krańce dziejów?
Jego imię — walczący świat:
nadzieja.

Rewolucjo! — któż wiatr powstrzyma,
kto ziemię zawróci w biegu?
Rewolucjo, tablice praw Rzymu
obalamy od Chin po Biegun.

Rewolucjo! siedemdziesiąt lat
Stalinowych powiewa nad światem.
I rodzi się nowy świat,
świat stary pęka jak atom.

MIĘDZYJARODÓWKA

Uroczyście

EUG. POTTIER

1. Wy-klę - ty po-wstań lu- du zie-mi. Po-wstań-cie, kto-rych drę-czy
głód! Myśl no- wa bla-ski pro-mien- ry - mi, dziś wie - dzie nas na ój na
trud. Prze - szło-ści ślad dłoń na - sta zmi - ta przed cio - sem
nie - chaj ty - ran drży. Ru - szy - my z po - sad bry - łę
świa - ta dziś ni - czym ju - tro wszy - stkim my Bój to
bę - dzie o - stat - ni krwa - wy skon - czy się trud. Gdy
zwią - zek nasz brat - ni o - gar - nie ludz - ki ród. Bój to
bę - dzie o - stat - ni krwa - wy skon - czy się trud Gdy
zwią - zek nasz brat - ni o - gar - nie ludz - ki ród,

MIĘDZYJARODÓWKA

Wyklęty, powstań, ludu ziemi!
Powstańcie, których dręczy głód!
Myśl nowa blaski promiennymi
Dziś wiedzie nas na bój, na trud.
Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata!
Przed ciosem niechaj tyran drży.
Ruszymy z posad bryłę świata,
Dziś niczym — jutro wszystkim my!

Bój to będzie ostatni,
Krwawy skończy się trud,
Gdy związek nasz bratni
Ogarnie ludzki ród.
Bój to będzie ostatni,
Krwawy skończy się trud,
Gdy związek nasz bratni
Ogarnie ludzki ród.

Nie nam wyglądać zmiłowania
Z wyroków bożych, z carskich praw;
Z własnego prawa bierz nadania
I z własnej woli sam się zbaw!
Niech w kuźni naszej ogień bucha,
Zanim ostygnie — przekuj stal,
By łańcuch spadł z wolnego ducha,
A dom niewoli zniszcz i spal!

Bój to będzie ostatni itd.

Rząd nas uciska — kłamią prawa,
Podatków brzemię ciąży nam
I z praw się naszych naigrawa

Ten, co z bezprawia żyje sam!
 Lecz się odmieni krzywda krwawa,
 Gdy równość stworzy nowy ład,
 Bez obowiązków — nie ma prawa,
 Dla równych równy szczęścia świat.

Bój to będzie ostatni itd.

Rządzący światem samowładnie
 Królowie kopalń, fabryk, hut
 Tym mocni są, że każdy kradnie
 Bogactwa, które stwarza lud!
 W tej bandy kasie ogniotrwałej
 Stopiony w złoto krwawy pot
 Na własność do nas przejdzie cały,
 Jak należności słusznej zwrot!

Bój to będzie ostatni itd.

Dziś lud roboczy wsi i miasta
 W jednośći swojej stwarza moc,
 Co się po ziemi wszerek rozrasta,
 Jak świt łamiący wieków noc...
 Precz, darmozjadów rodzie sępi!
 Czyż nie dość żeru z naszych ciał?
 Gdy lud wam krwawe szpony stępi,
 Dzień szczęścia wiecznie będzie trwał.

Bój to będzie ostatni itd.

SPIS RZECZY

	Str.
KLASYCY MARKSIZMU - LENINIZMU O KOMUNIE	
PARYSKIEJ	
Karol Marks — Wojna domowa we Francji. Z „Manifestu Rady Generalnej Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników w sprawie wojny domowej we Francji w 1871 r.“	5
Z listu Marksa do Kugelmana	15
Fryderyk Engels — Ze „Wstępu“ do „Wojny domowej we Francji K. Marksa“	17
Włodzimierz Iljicz Lenin — Pamięci Komuny	21
Józef Stalin — Z „Zagadnień leninizmu“	28
NA BARYKADACH KAMUNY	
I. S. Galkin — Komuna Paryska (krótki rys historyczny)	31
Proklamowanie Komuny — odezwa	46
Proklamowanie Komuny — fragment	48
Karmaniola	50
Luiza Michel — Taniec granatów	52
Z odezwy Komitetu Ocalenia Publicznego	53
Aleksander Dan — Na barykadzie	54
J. B. Clement — Krwawa niedziela	60
Masakra komunardów — fragment	62
Victor Hugo — Na barykadzie	65
Władysław Broniewski — Komuna Paryska (poemat)	66
Arthur Arnould — Męczennicy Komuny (fragment)	73
Ilja Erenburg — Fajka komunarda	76
Jan Artur Rimbaud — Paryż się budzi	91
Paul Verlaine — Zwyciężeni	95
Leopold Lewin — Pamięci poległych	97

POLACY W WALCE „ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ“

Ze wspomnień Rożałowskiego, adiutanta Jarosława Dąbrowskiego	101
Włodzimierz Słobodnik — Duma o śmierci Jarosława Dąbrowskiego	101
Wiktor Woroszyński — z poematu „Noc komunarda“	103
Piotr Kozuch — Śmierć Jarosława Dąbrowskiego	105
Śmierć Jarosława Dąbrowskiego — fragment	108
Włodzimierz Słobodnik — Ballada o generale Walerym Wróblewskim	111
Lucjan Szenwald — Józef Nadzieja pisze z Azji Środkowej (fragment)	114
Mieczysław Jastrun — Tren na śmierć generała Świerczewskiego	115
Mieczysław Jastrun — Ludzie wolni	117

ALE KOMUNA NIE ZGINEŁA

Eugeniusz Pottier — twórca hymnu proletariackiego „Międzynarodówka“	119
Eugeniusz Pottier — Komuna przeszła tędy	122
Włodzimierz Majakowski — Z poematu „Lenin“	124
Włodzimierz Słobodnik — Komuna nie zginęła	125
Władysław Broniewski — Słowo o Stalinie (fragmenty)	127
Międzynarodówka	130